W numerze: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI ***Dryndziarz i Smętek*** ● WŁODZIMIERZ STOKOWSKI ***Polski Edison*** ● KAROL BADZIAK ***Nasze środowisko*** ● ANDRZEJ GRUN ***Pająk*** ● ***Recenzje*** ● ***Zewsząd o wszystkim*** ● ***Nowela kryminalna***

odgłosu

WOJEWÓDZKA ODZNAKA M. ŁODZI

34 (770)
20. VIII. 1972 r
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

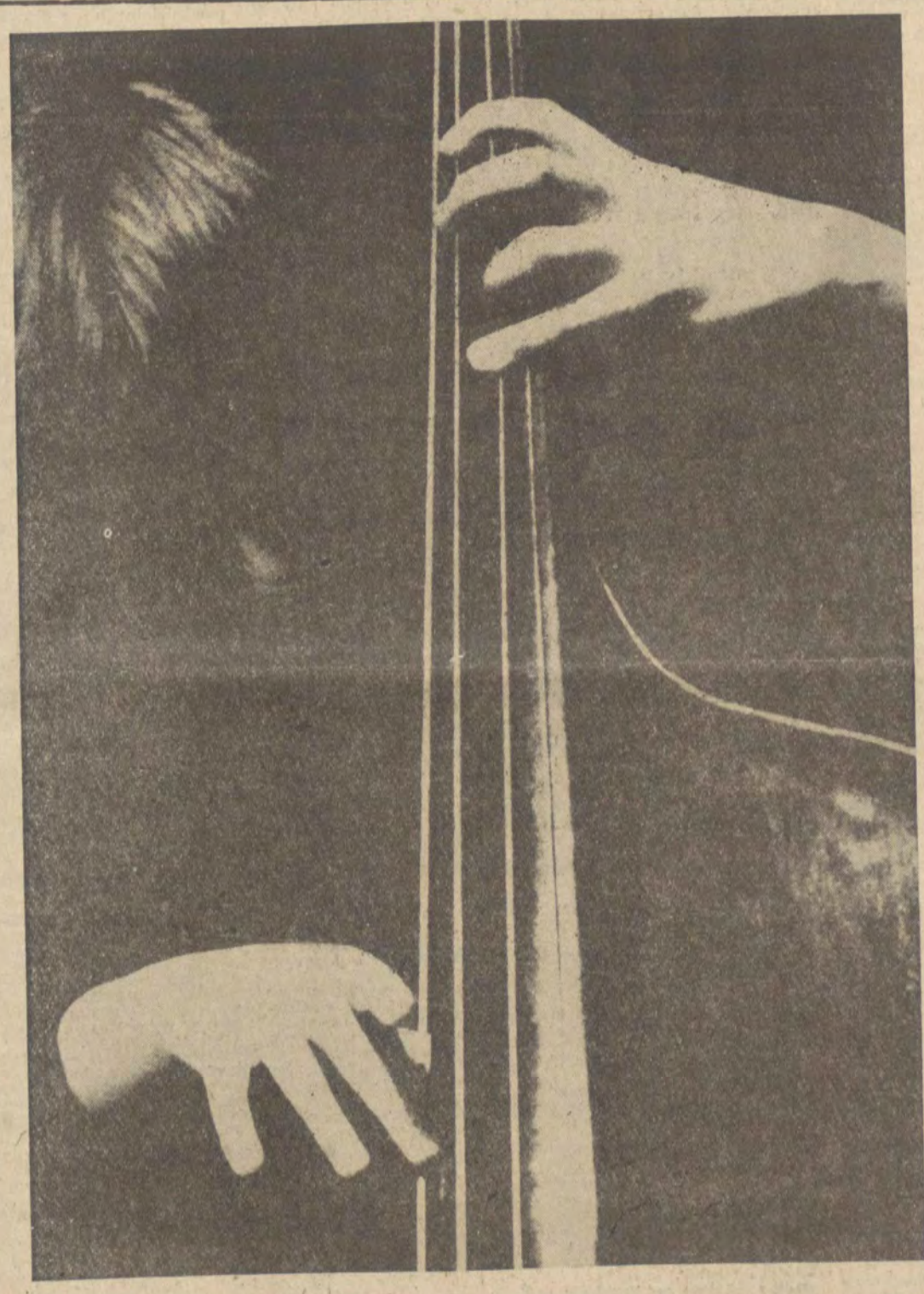

KONRAD FREJDLICH

Robotnicy z indeksem

Miała to być szkoła obywatelskości, wtajemniczenie w problematykę klasy robotniczej, wreszcie rzeczywiste, a nie tylko papierkowe świadectwo dojrzałości. Nigdzie przecież człowiek nie sprawdza się lepiej niż w procesie pracy.

Sprawa jest niebagatelna: dotyczy rokrocznie kilkudziesięciu tysięcy młodych ludzi w naszym kraju, którzy po zdaniu matury, w ciężkich egzaminacyjnych bojach wywalczyli studencki indeks. W bieżącym roku zainteresowanych nią jest blisko 50 tys. nowo przyjętych na studia, a w samej tylko Łodzi około 3.000 osób.

Sprawa jest niebagatelna jeszcze dlatego, że dotyczy dziesiątków milionów złotych wartości uprzedmiotowionej w pracy. Ile dokładnie, tego nikt dzisiaj nie wie. W roku 1969, kiedy zrodziła się idea robotniczych praktyk studenckich i pierwsze brygady pracowników z indeksami pomaszerowały na pegeerowskie pola, do hut i do fabryk, studenci wypracowali około dziewięćdziesięciu milionów złotych, a więc sumę, która coś znaczy w gospodarce narodowej.

Nie były to zresztą brygady entuzjastów, o czym świadczą choćby relacje prasowe z tego pierwszego zaciągu, ale też był on realizowany w warunkach przedgrudniowych napięć społecznych, kiedy entuzjazm i optymizm były artykułami reglamentowanymi urzędowo. Toteż sprawa praktyk robotniczych od początku budziła wiele sprzeciwów i dyskusji. Sprzeciwów otwartych, poprzez krytyczne wypowiedzi uczestników i sprzeciwów ukrytych, poprzez pospolite akty dezercji w postaci naciąganych zaświadczeń lekarskich.

Toteż ideę poprzeć trzeba było autorytetem prawa. W roku 1970 ukazało się zarządzenie Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego regulujące całokształt przedsięwzięć organizacyjnych w zakresie przygotowania i przeprowadzenia praktyk studentów szkół wyższych. Sprawie tej nadano duże znaczenie, bowiem praktyki robotnicze pomyślane były jako integralna część procesu wychowawczego, którego ostatecznym celem jest przygotowanie studentów do przyszłej pracy w gospodarce, administracji i kulturze narodowej.

Dalszy ciąg na str. 3

ANDRZEJ MAKOWIECKI

ZMIERZCH SAKSOFONÓW

W ciągu dziesięciu lat swoich zapasów z piórem, bardzo często pisywałem reportaże i opowiadania o tematyce klezmerskiej. Kawałki te nie zawsze podobały się ludziom, których prawdziwe życie zaczynało się nocą, a kończyło bladym świtem w dusznych, zadymionych salach. Wielu muzyków żywiło do mnie urazę. Mówili: jedziesz po naskórku... pokazujesz cwaniaków, hochsztaplerów i pijusów, a przecież większość z nas, to uczciwi, ciężko pracujący ludzie; snujesz się wyłącznie po knajpach, weselach i fabrykach, a przecież my żyjemy również w domach — mamy swoje żony, dzieci, radości i zmartwienia, swoje cholerne powołanie i swój cholerny los.

Wynurzeń tych słuchałem z mieszanymi uczuciami, przyznając wszakże, że prawda o klezmerach jest złożona. Żeby to zrozumieć, potrzebny jest krótki rys historyczny:

W połowie lat pięćdziesiątych wszyscy klezmerzy jechali w zasadzie na tym samym wózku — grali w lokalach, albo, od przypadku do przypadku, w świetlicach; szczytem ich marzeń był w sezonie letnim wyjazd nad morze, a w sezonie zimowym — góry.

Niedługo potem nastąpiła eksplozja jazzu, czyniąc w świecie klezmerskim potężne zamieszanie.

Nastąpił rozłam.

Zdolniejsi muzycy wyłapywali zagraniczne orkiestrówki, wycinali dixielandy, swingi i be-bopy, trafiali na estrady koncertowe, mając za jedynych konkurentów dwa czy trzy szmirowate, chałturne zespoły radiowe — natomiast mniej zdolni dalej uprawiali w podrzędnych restauracjach swoje tradycyjne um-pa-pa, um-pa-pa, przeklinając modę, zmieniające się gusta słuchaczy oraz wszystkich domorosłych Armstrongów i Ellingtonów, zaczynających kosić całkiem niezły grosz.

Jednakże powiedzenie: „Jazz — to pieniądz!" szybko straciło swoją aktualność, namnożyły się bowiem niezliczone zastępy przeróżnych zawodowych, pół-zawodowych i amatorskich zespołów, które szybko nasyciły rynek, a później, z braku miejsc pracy, zaczęły się nawzajem podkupywać i podgryzać, wijąc jazzowi przepisową pętlę.

Wydawało się wówczas, że perspektywy polskich muzyków lokalowych zostały raz na zawsze określone — skończyła się era jazzu, a więc trzeba przeprosić się z knajpą. Znowu jedność, równość, braterstwo, no i, oczywiście, ciche walki podjazdowe w związku z balem sylwestrowym, czy też intratnym sezonowym kontraktem do miejscowości wczasowej...

Ale oto — nagle i nieoczekiwanie — z początkiem lat sześćdziesiątych powiały dla klezmerstwa polskiego nowe, wspaniałe wiatry.

Saksy!

Słowa tego nie należy kojarzyć z saksofonem, lecz z muzyczną emigracją zarobkową.

Pisałem kiedyś na ten temat:

„Dzięki ożywionym kontaktom. PAGART-u z pokrewnymi agencjami krajów wschodniej, no i, oczywiście, zachodniej Europy, a już szczególnie Skandynawii — rozpoczęły się, z początku rzadkie, później coraz częstsze wyjazdy polskich zespołów do knajp za granicą. Fama też poszła po Polsce, że chyba mamy najlepszych restauracyjnych muzyków w świecie i dlatego jest wszędzie na nich takie zapotrzebowanie... Ale tu chodziło o coś innego. Wprawdzie szybko przyswoiliśmy sobie jazz i big-beat (wzbogacając go nawet o tak zwane rodzime tradycje folklorystyczne), wprawdzie wiele naszych zespołów lokalowych robi całkiem niezłą muzykę rozrywkową — jednak eksport orkiestr zawdzięczaliśmy (i zawdzięczamy) w pierwszym rzędzie temu, że je sprzedawaliśmy (i sprzedajemy) po mocno

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

BATALIA O FOTEL PREZYDENCKI W STANACH ZJEDNOCZONYCH *nasila się w miarę zbliżania się terminu wyborów. Do listopada jeszcze nieco czasu, dlatego też walka między partią republikańską, sprawującą władzę przez osobę prezydenta Nixona, a partią demokratyczną nie osiągnęła jeszcze zenitu. Rozegrała się natomiast trudna i kłopotliwa batalia o tandem wyborczy partii demokratycznej. Jeśli kandydat tej partii na prezydenta — McGovern stosunkowo łatwo uzyskał nominację konwencji, o tyle z kandydatem na wiceprezydenta było niemało trudności. Ostatecznie mianowany został Sargent Shriver, szwagier prezydenta Kennedy'ego, b. dyrektor „Korpusu Pokoju" i ambasador USA we Francji.*

*Zanim to jednak się stało partia demokratyczna przeżyła prawdziwy szok. McGovern chciał bowiem w szranki wyborcze z republikanami (tandem: Nixon — Agnew) stanąć wspólnie z senatorem Eagletonem. Polityczni konkurenci szybko jednak ujawnili, że Eagleton cierpiał w przeszłości na zaburzenia psychiczne i poddawany był elektrowstrząsom. Powstała sytuacja, w której senator zrezygnował z batalii. Kandydowania odmówili również Muskie i Humphrey — Shriver jest więc dopiero kolejnym kandydatem. Start do kampanii nie był zatem dla demokratów szczęśliwy, a i ankiety nie rokują zwycięstwa wyborczego. *). Mimo to McGovern jest dobrej myśli i na posiedzeniu ogólnokrajowego komitetu partii wyraził przekonanie, że uda mu się pokonać Nixona. Podkreślił przy tym, że ankietom nie należy wierzyć, gdyż w 1948 r. zawiodły republikanina Dewey'a, który wbrew prognozom przegrał do Trumana.*

Zestaw duetów wyborczych jest tym razem taki, że można je określić przymiotnikami — słowem: LIBERALNY w wypadku demokratów i KONSERWATYWNY w wypadku republikanów.

Program McGoverna zawiera się w kilku zasadniczych punktach: przywrócić szybko pokój w Indochinach, zredukować nadmierne wydatki wojskowe, powstrzymać inflację i zwiększyć zatrudnienie. Nixon — słusznie zauważa kandydat demokratów — złamał niemal wszystkie obietnice wyborcze. W okresie jego prezydentury dalszych 20 tys. Amerykanów zginęło na polach bitew w Wietnamie, a liczba bezrobotnych wzrosła o 2 mln.

Nowo mianowany kandydat na wiceprezydenta — Shriver podkreślił natomiast, że wraz z McGovernem „Stworzy koalicję, o jakiej marzył Robert Kennedy" — koalicję różnych narodowości, zamieszkujących terytorium Ameryki Północnej, białych i Murzynów, członków warstw średnich i bogatych...

McGovern i Shriver w toku rozpoczętej właśnie kampanii wyborczej atakują Nixona i jego administrację głównie za niezakończenie wojny wietnamskiej w 1969 r., kiedy to były po temu najlepsze warunki oraz za brak obrony interesów przeciętnych obywateli amerykańskich. Sytuacja rozwija się więc ciekawie i warto ją uważnie śledzić.

Wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych NIEMAL ZBIEGNĄ SIĘ Z WYBORAMI POWSZECHNYMI W NRF — do Bundestagu. Właśnie doniesiono z Bonn, że rządowa koalicja SPD/FDP chciałaby przeprowadzić wybory najpóźniej 3 grudnia. Być może już za kilka dni dojdzie do spotkania przedstawicieli wszystkich partii, reprezentowanych w Bundestagu, w celu zawarcia porozumienia o kampanii wyborczej. W drugiej połowie września ma zebrać się Bundestag, na którym Brandt zgłosi wniosek o votum zaufania. Przy istniejącej blokadzie głosów nie uzyska poparcia, co pozwoli rozwiązać parlament. Wtedy, w ciągu 60 dni od daty rozwiązania, muszą się odbyć wybory. Jest to jedna z nielicznych dróg przyspieszenia upływu kadencji. (Kwestię tę wyjaśnialiśmy już kiedyś na tym miejscu).

Z pewnością również ta kampania wyborcza będzie bardzo interesująca. Już teraz można przewidzieć, że chadecja będzie chciała centralnym tematem wyborczym uczynić politykę wewnętrzną — sytuację gospodarczą i finansową NRF, podczas gdy atutem koalicji rządzącej jest przede wszystkim polityka zagraniczna.

Właśnie minęły DWA LATA OD PODPISANIA W MOSKWIE UKŁADU MIĘDZY ZSRR I NRF. Wprawdzie droga do jego ratyfikacji była długa i złożona, ale od chwili zawarcia układu rzutował on korzystnie na sytuację w Europie. Tylko w klimacie odprężenia i realizmu, którego nie wykazał żaden z poprzednich rządów zachodnioniemieckich, mogło dojść do układu Polska — NRF, czteromocarstwowego porozumienia w sprawie Berlina zachodniego, układu komunikacyjnego między NRF i NRD oraz rozpoczęcia rokowań na temat układu generalnego. Jeśli dziś realna i bliska jest możliwość zwołania ogólnoeuropejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy — to odegrał w tym znaczną rolę podpisany przed dwoma laty układ.

Nawiązując do tej rocznicy dziennik „Izwiestia" pisał przed kilku dniami:

> *„Czas potwierdził, że układ ten stał się fundamentem normalizacji i dobrosąsiedzkich stosunków między obu krajami, które przy rozwiązywaniu poważnych problemów międzynarodowych często zajmowały przeciwstawne stanowiska".*

W. SŁAWSKI

*) Wg ostatnich ankiet Nixon prowadzi przewagą 23 pkt. — 57 proc. wobec 34 proc.

Finał żniw

☆ Tegoroczne żniwa odbywają się w trudnych warunkach, ale przy maksymalnej mobilizacji rolników i instytucji obsługujących rolnictwo. Towarzyszy im również, od momentu wstępnych przygotowań, stała uwaga najwyższych czynników partyjnych i rządowych. Obecnie więcej niż połowę zbóż zdołano skosić, ale warunki atmosferyczne wstrzymały zwózkę z pól. Dla rolników nadszedł więc najtrudniejszy okres spiętrzenia prac. Trzeba zboże zwieźć, rozpoczynać podorywki, siać poplony, myśleć już o wykopkach buraków cukrowych.

8 sierpnia Biuro Polityczne KC PZPR i Prezydium Rządu oceniły przebieg akcji żniwnej. Pozytywnie oceniono wysiłek rolników i współpracujących z nimi instytucji. Zwrócono jednak uwagę na szereg niedociągnięć, szczególnie na odcinku mechanizacji, transportu, zaopatrzenia w części zamienne. BP zaleciło więc dokonanie kompleksowej oceny tegorocznej akcji żniwnej, do wykorzystania w przyszłości.

Ostatnie dni to szczególne nasilenie prac w województwach północnych i zachodnich, gdzie ze względu na warunki glebowo-klimatyczne żniwa rozpoczęły się znacznie później. Na tereny te rozpoczęto przerzut ciężkiego sprzętu, głównie kombajnów.

Należy również podkreślić aktywne włączenie się wojska do tegorocznej kampanii żniwnej. W tym gorącym pod każdym względem okresie, setki ruchomych warsztatów, autocystern obsługiwanych przez żołnierzy, jest bardzo istotnym uzupełnieniem zaplecza technicznego POM, MBM i KR.

Odpoczynek trzech milionów

☆ Przyjęcie zasady, że nie ma dobrej pracy bez dobrego wypoczynku przynosi już rezultaty. Do końca lipca skorzystało już z różnych form wypoczynku 1,6 miliona osób. Jest to liczba rekordowa w porównaniu do ubiegłych lat. Przy dalszych energicznych staraniach i inicjatywach plan br. (trzy miliony) może być i to znacznie przekroczony. Istotne rezerwy tkwią przede wszystkim w przedłużeniu sezonu i maksymalnym wykorzystaniu obiektów wczasowych. Obliczono, że przedłużenie sezonu w zakładowych ośrodkach wypoczynkowych tylko o jeden turnus, pozwoli zwiększyć liczbę wypoczywających o ponad 200 tys. osób. Dochodzą jednak niepokojące sygnały, że zakładowe ośrodki nadal w jakimś stopniu pozostały zamkniętymi enklawami. Jest w nich sporo wolnych miejsc, ale kierownicy domów (w odróżnieniu od FWP) nie mają uprawnień do przyjmowania wczasowiczów i turystów indywidualnych. Mamy nadzieję, że po pierwszych sygnałach te kompetencyjne nonsensy zostały natychmiast zlikwidowane.

Już w roku 1973

☆ W Urzędzie Rady Ministrów pod przewodnictwem premiera Jaroszewicza odbyła się narada kierowników naszego życia gospodarczego. Analizę realizacji zadań społeczno-gospodarczych br. i wyniki wstępnych prac nad planem 1973 roku przedstawił przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów wicepremier Jagielski. Wynika z niej, że we wszystkich dziedzinach działalności gospodarczej osiągnęliśmy wysoką dynamikę wzrostu, a zadania ujęte w planie zostały przekroczone. Dzięki tak korzystnym wynikom zachodzi potrzeba skorygowania w z w y ż wszystkich wiodących wskaźników planu na rok 1973, to znaczy ustalenia ich powyżej poziomu przewidzianego na ten rok w planie 5-letnim.

Najważniejszym zadaniem obecnie i w przyszłym roku będzie utrzymanie dynamicznej równowagi pieniężno-rynkowej. W br. dochody ludności utrzymującej się z pracy w gospodarce uspołecznionej i rolnictwa wzrosną o ok. 13 proc. w porównaniu do roku ubiegłego i będą około 5 proc. wyższe niż założono w planie. Z drugiej zaś strony, jak wykazuje aktualna ocena sytuacji rynkowej, dostawy towarów przemysłowych i spożywczych będą większe o ok. 51 mld zł niż w roku ubiegłym i przekroczą założenia NPG o ok. 23 mld zł. Aby utrzymać tak wysokie tempo rozwoju, w roku przyszłym dostawy na rynek muszą wzrosnąć do poziomu 655 mld zł (Jest to o 40 mld więcej do poprzedniego planu i o 60 mld więcej w stosunku do przewidywanego wykonania planu dostaw w br.).

W oparciu o powyższe założenia wicepremier Jagielski przedstawił konkretne propozycje dotyczące zadań ilościowych i asortymentowych dla poszczególnych resortów i organizacji spółdzielczych. Zaakcentował przy tym główną rolę takich branż jak przemysł maszynowy, chemiczny, lekki, rolno-spożywczy i drzewny. Podkreślił również znaczenie szybkiego zwiększania usług dla ludności, a także rozwijania aktywnej polityki finansowej państwa.

„Tym, którzy będą te zadania wykonywać — powiedział w podsumowaniu narady premier Jaroszewicz — musimy przekazać je w sposób nie mechaniczny, lecz po należytym przygotowaniu, skonkretyzowaniu i zapewnieniu środków".

Efekty społecznej krytyki

☆ W ostatnich tygodniach z ostrą krytyką handlu i gastronomii występowali mieszkańcy Warszawy i Wrocławia. Dodajmy od razu, z krytyką słuszną i uzasadnioną. W sklepach spożywczych brakowało wielu artykułów, w godzinach popołudniowych brakowało często chleba. Nie wszędzie można było kupić mleko, mały był wybór wędlin i mięs. Zbyt wiele sklepów, zwłaszcza spożywczych zamknięto, cały personel zwalniając na urlopy.

Tę listę mankamentów stołecznego handlu (i chyba nie tylko stołecznego) można by ciągnąć, ale są to rzeczy znane nam od dawna. Optymistyczne w tym wszystkim jest jedno. Na społeczną krytykę prezydia rad narodowych odpowiedziały szybko i zdecydowanie. Pracownikom handlu i gastronomii tym razem nie pomogły wykręty o „obiektywnych" trudnościach. Dwaj zastępcy dyrektora WZG zostali usunięci z zajmowanych stanowisk. Wielu innych odpowiedzialnych pracowników poniosło kary finansowe oraz otrzymało surowe nagany i ostrzeżenia.

Miejmy nadzieję, że przykładne ukaranie winnych będzie wymownym ostrzeżeniem nie tylko dla niesolidnych pracowników handlu i gastronomii Warszawy i Wrocławia.

Nagrody „Trybuny Ludu"

☆ „Trybuna Ludu", organ KC PZPR ustanowiła doroczne nagrody. Nagrody będą przyznawane w trzech działach: za popularyzacje marksizmu-leninizmu i polityki PZPR; za inicjatywy społeczne; za rozwój czytelnictwa „Trybuny Ludu" i współpracę z redakcją. W każdej grupie przyznana będzie nagroda zespołowa i indywidualna. Kandydatów do nagród zgłaszają: Komitety Wojewódzkie PZPR, organizacje społeczne, czytelnicy „TL", członkowie komitetu nagród.

J. PIECHOWIAK

Z kraju

LISTY DO REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Nie wiem, czy lustrował Pan kiedykolwiek nocne lokale Łodzi. Nie jest ich zbyt wiele, toteż dostać się na dancing nie jest łatwo, a amatorzy tańca narażeni są na poufałości i lekceważenie ze strony portierów, na których nie ma silnych. Wykupienie bonu konsumpcyjnego także nie jest żadnym glejtem, na dowód czego przedstawię obrazek z reprezentacyjnej restauracji „Europa", która, oby jak najszybciej, została przemianowana na „Wolnoamerykankę".

26 lipiec br., godz. 2.30. Portier z „Europy" wyprowadza z parkietu pijanego tancerza. Klient opiera się, przy barze zostawił marynarkę. Portier z rozmachem zrzuca go po żelaznych schodach z pierwszego piętra potem tratuje mu piersi. Gdyby nie interwencja innych klientów, nie wiadomo jak to by się skończyło. Jednemu z interweniujących portier obiecał odgryźć brodę. Do wszystkich zwracał się wytwornie przez demokratyczne „ty".

Znamy podobne praktyki z „Europy" w Międzyzdrojach. W Łodzi ich sobie nie życzymy.

Z wyrazami szacunku

JÓZEF GOŁĄBEK
(adres znany redakcji)

Udziela wyjaśnień Spółdzielnia Lokator

W nr 26 Waszego poczytnego pisma z dnia 25. VI. br. ukazał się artykuł pt. „Spór o § 22". Autor tego artykułu zastanawia się nad treścią pkt. 2 § 22 projektu nowego tekstu statutu Spółdz. lokatorsko-własnościowej i komunikuje, że przepis ten został zakwestiowany przez Zebranie Przedstawicieli n/Sp-ni, co uważa za słuszne i stanowiące dowód dążenia do równorzędności stron, tzn. Sp-ni i jej członków.

Ze swej strony wyjaśniamy, co następuje:

1. Powyższy przepis dotyczy daty powstania obowiązku opłacania czynszu i daty jego ustania.

W zakresie początku powstania w/w obowiązku § 22 projektu statutu nie wprowadził żadnych zmian, ponieważ pkt. 5 § 23 obowiązującego statutu stanowi o obowiązku płacenia czynszu z dniem „postawienia członkowi do dyspozycji przydzielonego lokalu".

Według aktualnego brzmienia tego przepisu statutu, obowiązek opłaty czynszu przez członka Sp-ni ustawał z końcem m-ca, w którym lokal został opróżniony, a obecnie § 22 pkt. 2 projektu statutu wprowadzał modyfikację, przedłużając ten obowiązek do czasu „zakończenia remontu" zwalnianego lokalu z ograniczeniem jego trwania do dni 14 od opróżnienia mieszkania.

Zmiana ta wynika z uchwały nr 29 Zarządu CZSBM z dnia 13. IV. 1972 r. ogłoszonej w publikacji pt. „Informacje i komunikaty CZSBM" nr 7—8 z dn. 30. IV. 72 r.

Termin ten jest b. krótki i mobilizujący Sp-nie do szybkiego przeprowadzenia remontu zwolnionego lokalu.

2) Spółdzielnie bud. mieszkaniowego bynajmniej nie dążyły nigdy i nie dążą do przewagi ekonomicznej nad swymi członkami. Odwrotnie, omawiany przepis projektu statutu leży właśnie w interesie członków spółdzielni, gdyż w przeciwnym wypadku za okres remontu zwolnionego lokalu nie wpływałby czynsz i powstałaby z tego powodu strata, ponieważ sp-nie przez cały czas ponoszą koszty eksploatacyjne (odsetki bankowe, tzw. „świadczenia", tj. efektywne koszty utrzymania budynku itp.)

Należy podkreślić, że sp-nie bud-mieszk. nie pracują na zysk i nie mają żadnych rezerw finansowych, a więc straty musieliby pokrywać członkowie sp-ni za osoby zmieniające lokale, co byłoby dla nich krzywdzące.

Z powyższych względów tego rodzaju przepisy, jak omawiany pkt. 2 § 22 projektu statutu mają właśnie uzasadnienie w interesie członków sp-ni.

3) Na Zebraniu Przedstawicieli w dniu 30. V. 1972 r. dyskusja przeciągnęła się do późnych godzin. Wielu członków sp-ni posiadających już lokale wyszło wcześniej, natomiast pozostali na Zebraniu członkowie oczekujący na przydział. Oni to poddali w wątpliwość celowość zmiany typu Sp-ni z lokatorskiej na lokatorsko-własnościową, ponieważ przekonali się, że z tego tytułu nie uzyskają korzystnych zmian, a w szczególności przyspieszenia przydziału lokali. Przy głosowaniu doprowadziło to do odnowy przyjęcia projektu nowego statutu wprowadzającego w/w zmianę typu sp-ni. Odmowa powyższa została uchwalona nieznaczną większością głosów.

Sprawa redakcji — § 22 tego projektu statutu, dotycz. czasu trwania obowiązku płacenia czynszu, była przez dyskutantów poruszana tylko marginesowo.

Aczkolwiek omawiany artykuł „Odgłosów" ma charakter wyłącznie dyskusyjny, uważamy za właściwe przesłać niniejsze wyjaśnienie wraz z wyrazami należnego poważania.

RSM „LOKATOR"
(podpis nieczytelny)

ROBOTNICY Z INDEKSEM

Dalszy ciąg ze str. 1

Założenie było słuszne, idea godna pochwały i poparcia, a przecież mimo czteroletnich doświadczeń sprawa tych praktyk do dziś wywołuje dyskusję. Całkiem niedawno dał wyraz swoim rozterkom Kazimierz Koźniewski, który na łamach „Polityki" (nr 30 z 20. V. 1972 r.) stwierdził wprost: „Powiedzmy sobie otwarcie: studenckie praktyki robotnicze, tak jak wyglądają w tej chwili, nie spełniają nadziei, jakie z nimi wiązano".

Zapytajmy więc, równie otwarcie, skąd bierze się ten sceptycyzm i na ile jest on uzasadniony?

Myślę, że najwięcej wątpliwości budzić musi sposób wtajemniczania w problematykę klasy robotniczej, który fetyszyzuje fizyczną pracę niekwalifikowaną. W dzisiejszych warunkach produkcyjnych jest to anachronizm; anachronizm tym niebezpieczniejszy, że podważający sensowność postępu technicznego, zdobywanie kwalifikacji, wyzwalanie pomysłowości i inicjatywy. We współczesnych fabrykach robotnicy niewykwalifikowani znajdują się właściwie poza procesem produkcyjnym, pracują na stanowiskach sprzątaczek, gońców, dozorców. Poznali tę zasadę na własnej skórze także praktykanci, których wykorzystywano w fabrykach do prac porządkowych, przy pieleniu grządek, wycinania zielska, a kiedy i tej pracy nie stało, trzeba było dopiero mozolnie wymyślać zajęcia. Sensowność tych zajęć bywa niekiedy więcej niż wątpliwa, toteż musiała zrazić największych nawet entuzjastów, jeśli się tacy oczywiście znaleźli w studenckiej brygadzie. Nieco lepiej wygląda sytuacja na wsi, gdzie w zasadzie, zwłaszcza w okresie żniw, potrzebne są każde ręce do pracy, ale i tam organizatorzy nazbyt hojnie korzystają z kredytu, jaki daje im zarządzenie ministerstwa. Bowiem student znajduje się w sytuacji przymusowej: odbycie praktyki jest warunkiem kontynuowania studiów i zależność ta, jak świadczą o tym nawet ogłaszane na łamach prasy pamiętniki, jest wykorzystywana niekiedy sprzecznie z założeniami. Najlepiej, jeśli wierzyć Koźniewskiemu, wyglądała sytuacja studentów w leśnictwie. „W ogólnokrajowych ocenach Zarządu Głównego ZMS praca w leśnictwie, praca w lasach przyniosła najbardziej realne korzyści materialne — pisze on — dla samego lasu, jak i najbardziej korzystne rezultaty wychowawcze. Atmosfera brygad studenckich zatrudnionych w lasach była najlepsza. Było to chyba również najlepsze spędzenie czasu wakacyjnego — a ten wzgląd też powinien w organizowaniu pracy studentów odgrywać istotną rolę. Toteż Koźniewski, który zresztą słynie z tego, że łatwo się zapala, rzucił hasło: „A studenci niech idą w las..."

Im głębiej w las, tym więcej drzew, głosi ludowe porzekadło. Może idea Koźniewskiego jest słuszna, ale może też lepsze będą inne rozwiązania, które warto by rozważyć, przy założeniu oczywiście, że praca brygad studenckich powinna przynosić realne korzyści gospodarce narodowej. W przeciwnym bowiem razie propagandowy i wychowawczy sens praktyk robotniczych jest więcej niż wątpliwy. Kult wysiłku mięśniowego i fetyszyzowanie niekwalifikowanej pracy fizycznej nie zdały przecież egzaminu nawet podczas chińskiej rewolucji kulturalnej.

Zacznijmy może od tego, że nie jest prawdą, iż młodzież studencka stroniła przed pracą fizyczną do czasu wprowadzenia przymusowych praktyk. Świadczy o tym najpełniej liczba zrzeszonych w Studenckich Spółdzielniach Usługowych, takich choćby jak łódzki „Puchatek", i wartość ich świadczeń. Studenci pracują fizycznie nawet w najbogatszych krajach, studenci i uczniowie wyższych klas, a okres ferii wakacyjnych jest okazją do akcji zorganizowanej, obejmującej swym zasięgiem dziesiątki tysięcy młodych. „Zeit Magazin", ilustrowany dodatek do tygodnika „Zeit", który ukazuje się w NRF, w numerze z 26 maja br. przynosi na przykład specjalną wkładkę poświęconą wakacyjnemu zatrudnieniu studentów. Proponuje się im pracę we Francji i w Anglii oraz w samej Republice Federalnej: zgłaszają zapotrzebowania osoby prywatne oraz poczta, kolej, banki, przedsiębiorstwa budowlane. Z listów, jakie zamieszcza redakcja przypominając wakacje ubiegłoroczne, wynika, że ta pierwsza niekiedy praca była jednocześnie autentyczną i samodzielną próbą życia. Nie chcę przez to powiedzieć, że jest to wzorzec, który powinniśmy naśladować, ale wydaje mi się, że największym mankamentem naszych praktyk robotniczych jest ich nieautentyczność.

Źródło tej nieautentyczności widziałbym przede wszystkim w administracyjnym przymusie, który od początku wypaczył słuszną ideę praktyk studenckich w środowisku robotniczym. Entuzjazmu młodych nie można bowiem powołać do życia ustawą: tworzy go ogólny klimat społeczny, a i on w okresie przedgrudniowym został sformalizowany poprzez labirynty wskaźników i statystyk.

Formalizm zaciążył także na modelu praktyk. Ich organizatorem są przecież władze szkoły wyższej i rady narodowe, a nie ideowe organizacje młodzieżowe. ZMS, ZMW i ZSP mają w organizowaniu praktyk robotniczych zaledwie „współdziałać". „Współdziałanie" to ogranicza się do tego, że organizacje młodzieżowe upoważnione są do przeprowadzenia wśród swego aktywu na latach starszych ochotniczego zaciągu na zastępców kierowników praktyk oraz ich przeszkolenia. Zarządzenie stwierdza jednocześnie, że zastępcy „pracują fizycznie razem ze studentami oraz realizują program wychowawczy organizacji młodzieżowych w hufcach".

Formalnie wszystko jest w porządku. Oglądałem na przykład liczący sobie 10 stron maszynopisu program studenckich praktyk robotniczych opracowany przez Komisję Spółdzielczości Studenckiej przy Radzie Okręgowej ZSP w Łodzi. Sprecyzowano w nim i zadania uczelni i formalno-prawną stronę zawierania umów o pracę hufca między uczelnią a przedsiębiorstwami i studenckie uprawnienia pracownicze. Jest to lektura, od której włos jeży się na głowie, pełny zwrotów: „meldunki o podpisaniu umowy", „protokół z kontroli wstępnej" itp. A więc papierki i jeszcze raz papierki. Za tą formalno-prawną stroną ginie żywy człowiek, chociaż jednocześnie stwierdza się, że „praca społeczno-polityczna jako swój cel zakładać powinna wzbogacenie wiedzy politycznej studentów i umożliwienie im pełniejszego poznania problemów dzisiejszej rzeczywistości". Jest to minimalizm, który przyznaję, budzi mój protest. Od kogóż, jak nie od młodych, wymagać mamy przekształcania rzeczywistości, wywierania na nią swego wpływu, zaznaczenia w niej swojej obecności, poczucia współodpowiedzialności za jej przyszłość!

Toteż robotnicze praktyki studenckie trzeba czym prędzej odformalizować, zanim te sposoby poznawania rzeczywistości nie utrwalą się w świadomości młodych na dobre, a ich rezultatem będzie nowa generacja oportunistów i konformistów. Młodych stać na największe, trzeba im tylko stworzyć prawdziwą szansę. Pielenie zielska i zbieranie papierków na podwórkach fabrycznych zadowolić może tylko biurokratów, którzy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku napiszą sążniste sprawozdania o pozytywnych efektach wychowania przez pracę.

Hasło: „Zbudujemy drugą Polskę", które wywołało taki entuzjazm na łódzkim Zlocie Młodych Przodowników Pracy i Nauki stwarza taką perspektywiczną szansę dla całej młodzieży, w tym młodzieży studenckiej. Pod warunkiem wszakże, że zdobędziemy się na symbol, jakim dla młodzieży z pokolenia ZMP była choćby budowa Nowej Huty. Jakim dla młodzieży radzieckiej był Komsomolsk nad Amurem. Jeśli stać nas na drugie Zakopane, stać nas także na drugie miasto młodzieży, choćby w Lubelskiem, gdzie odkryto nowe pokłady węgla kamiennego, czy w okolicach Bełchatowa, gdzie ruszy odkrywka. Jeśli tylko postawimy przed młodymi cel, zaciągu ideowego do brygad pracy nie trzeba będzie realizować pod reżimem ustawy i sankcjonować groźbą niezaliczenia studiów. Wtedy młodzież pokaże, na co naprawdę ją stać.

KONRAD FREJDLICH

Foto: Lucjan Janczak

WITOLD SŁOTWIŃSKI

Awantura nad harcerskim wyrem

„Obóz jest wspólnym domem wszystkich uczestników i kadry obozu"
(Z Regulaminu obozu)

Dzień pierwszy

Do redakcji zgłosili się rodzice harcerki Ewy — państwo B. ze skargą na Komendę obozu harcerskiego w miejscowości nadmorskiej J. W dziesiątym dniu trwania obozu Ewa została usunięta i pod nieobecność rodziców przywieziona do Łodzi. Tu pozostawiono czternastoletnią dziewczynkę bez opieki. Tyle dowiedziałem się o sprawie Ewy B.

— Kto przywiózł Ewę do Łodzi? — pytam.

— Jakiś rudy facet z brodą. Cholernie niesympatyczny. Wpakował ją przez lufcik kuchenny i oddalił się. Dopiero na drugi dzień córka zastała w drzwiach karteczkę: „Jeżeli niema(!) rodziców bądź o godz. 15.00 na dworcu Kaliskim pojedziesz spowrotem(!) na obóz" — podpis nieczytelny.

— Ja tego nie daruję — podniesionym głosem wykrzykuje matka. Napiszę lub pojadę nawet do Gierka. Nie pozwolę, aby tak skrzywdzono moje dziecko. Oddałam Ewę pod opiekę, to znaczy zaufałam im wszystkim. Zeszła z warty. I to po to, aby wziąć skafander z namiotu. W nocy oziębiło się, a być może dziecko zgłodniało. Zresztą nie o to chodzi. Jeżeli zawiniła, należało ukarać i to surowo.

— Tak, surowo i sprawiedliwie — włącza się ojciec Ewy B. — Ale czy nie do ich obowiązków należało zorganizowanie opieki w Łodzi? — Dlaczego nie powiadomili Szczepowego, Hufca, Chorągwi?

— Dziecko obijało się cztery noce po dworcach. Czy pan rozumie, co to znaczy dla takiej dziewczynki? Mój Boże, dwa tygodnie minęły, a ja uspokoić się nie mogę. Nigdy tego nie daruję. Właśnie jesteśmy umówieni w Komendzie Chorągwi, czy mógłby pan nam towarzyszyć? Sam pan dojdzie do prawdy, zapewniamy pana, nie ma tu żadnej przesady.

Jadę. Przyjmują nas zastępca komendanta do spraw pedagogicznych — pani Blanka K. i zastępca do spraw organizacyjnych — pan Jerzy G.

Rozmowa zaczyna się źle. Matka Ewy nie wytrzymuje, zbyt gwałtownie wyrzuca z siebie skargi i żale pod adresem Komendy Obozu. Pani komendantka Chorągwi proponuje herbatę i elenium... Na szczęście pozostajemy przy herbatce. To także zasługa pani komendant, która spokojem i wyjątkową kulturą osobistą opanowuje zbyt nerwową sytuację. Niestety, Komenda Chorągwi zna fakty tylko z relacji rodziców i telegramu, który nadała Komenda Obozu. Otrzymujemy zapewnienia, że zostaną ukarane osoby winne zaniedbań, jeżeli okaże się uzasadniona skarga rodziców. Zapoznaję się z telegramem, o którym mowa była przed chwilą. Nadany 12 lipca: „Decyzją Rady Obozu uczestniczka Ewa B. została wydalona z obozu za łamanie regulaminu obozu, dziewczynę do domu odwiózł Władysław S. dnia 3 lipca 1972, odebrała ją sąsiadka pani Cz. zamieszkała Łódź, przy ulicy Z... 63/5 z informacją dla ojca telegram do ojca wysłałam — Henryka S."

— Więc jednak.

— Państwo zapewne nie wiedzą — kontynuuje pani komendant — jak szalenie trudno jest skompletować kadrę obozową. Większość z nich nie otrzymuje prawie żadnego wynagrodzenia. Poświęcają swoje urlopy. Gdybym decydowała o tych sprawach, nigdy bym nie pozwoliła pracować nauczycielom w czasie wakacji. Poza tym ich kwalifikacje i praktyka dydaktyczna nie zawsze pomaga w rozwiązywaniu trudnych spraw wychowawczych, które raz po raz wyłaniają się na tego typu obozach. Społeczeństwo winno mieć więcej szacunku do bezinteresownego wysiłku kadry harcerskiej.

Wszystko to jest, niestety, prawdą, ale zaniedbania w stosunku do Ewy są oczywiste. Usunięcie z obozu jest najwyższą karą i w sensie wychowawczym niczego — moim zdaniem — nie załatwia, chociaż formalnie wszystko jest w porządku, bowiem komendantowi obozu regulamin przyznaje nieograniczoną władzę.

— Ile godzin miała stać Ewa na warcie?

— Pięć godzin — odpowiadają rodzice.

— Regulamin harcerski wymienia dwie godziny — dodaje komendant Jerzy G.

— Panie Jurku, zdarzało się panu być komendantem obozu harcerskiego? Ile razy stosował pan karę usunięcia?

— Nigdy. Nas z tego rozliczają i na tej podstawie — m. in. oceniają.

Dziękujemy przedstawicielom Komendy Chorągwi,

Dalszy ciąg na str. 4

Grudzień — styczeń 72. Wracam ze Skopje. Na stole kilkanaście notatek. Próbowałem coś przynajmniej utrwalić na papierze, fragmenty zasłyszanych zdań, jakiś pejzaż znad Vardaru, urwaną opowieść w pociągu. Wywiozłem z tego miasta mnóstwo wrażeń: jeszcze teraz widzę gesty i spojrzenia ludzi, z którymi rozmawiałem, widzę linie ulic, szerokie, biegnące w jakieś odległe przestrzenie, że nie chce się doprawdy wierzyć, aby ulice były tak wyciągnięte, wprost nie na wytrzymałość ludzkich nóg.

W Skopje byłem po raz pierwszy. Jechałem tam z pewnym wyobrażeniem tego, co zastanę, ale z wyobrażeniem mglistym, rozchwianym, by łatwiej mi było wchłonąć rzeczywistość. I dobrze, że z ostrożnością sobie szkicowałem ten obraz. To, co zobaczyłem, zoskoczyło mnie zupełnie: ogrom i rozległość. W wielkiej dolinie, swobodnie rozsiadłe między pasmami wzgórz, na obszarze o długości 35 km, z nonszalancją, po wielkopańsku naniesione miasto. W istocie — naniesione na pustoszy po tragicznym trzęsieniu ziemi z roku 1963, lecz rozlane daleko poza jej granice. Przed tą datą nie imponowało Skopje taką powierzchnią, równą obszarom światowych metropolii, mieściło się w skromniejszych granicach. Więc nacisk ogromu, w znacznym stopniu już ukształtowanego urbanistycznie, zadziwiającego nowoczesnością architektury — i ciążenie pustki, luzów w tym układzie przestrzennym. Dla przybysza z zaludnionych ośrodków miejskich, Skopje jest błogim azylum, gdzie można wreszcie rozprostować ręce bez obawy o zderzenie z bliźnim. W tym obszarze pozostało coś z otwartości stepu, tutaj czuje się mocno pulsowanie natury, jeszcze nieujarzmionej przez człowieka, przez cywilizację z jej asortymentem dobrodziejstw naszego półwiecza.

Ogrom, pustka i... język polski. Trzy elementy, które bardzo mnie ujęły. Na dobrą sprawę znajomość macedońskiego nie jest dokuczliwie potrzebna. Polak w Skopje to nie Amerykanin w Paryżu, to jakby Polak u sąsiadów, którzy jedynie zapomnieli nieco jego język, lecz rozumieją go bezbłędnie. A zresztą czy takie zdanie: I taka nataka po patekata pokraj rekata — nie brzmi swojsko i pięknie? Znaczy zaś — i tak dalej po ścieżce wzdłuż rzeki... Nie wchodząc w szczegóły, na ogół znane, znajomość naszego języka jest rezultatem pobytu wielu Macedończyków z terenu Macedonii Egejskiej w Polsce. Nie wiem dokładnie, ilu z nich dzieciństwo i młodość spędziło u nas, sam spotkałem kilkunastu. Przepisuję z notatki: „Jestem inżynierem, mam odpowiedzialne stanowisko, wszystko, kim jestem, co potrafię, zawdzięczam Polsce. Nie wiem, kim bym został, gdyby mnie los nie rzucił do was". Te związki są rozgałęzione, głębokie, przeniknięte pamięcią trudnych, tragicznych lat powojennych, silnie są umiejscowione w wielu życiorysach. To związki ze szkołą polską, z polskimi miastami Dolnego Śląska, z ludźmi znad Odry i Nysy, z krajobrazem polskim. Niepodobny on ani w kolorycie nieba, ani w intensywności słońca do ziemi macedońskiej, a jednak bliski. Choćby Tanas Nikolovski, obecny redaktor wydawnictw Biblioteki Narodowo - Uniwersyteckiej. Czule zrośnięty z Polską (przez lata szkolne i uniwersyteckie), dziś z pasją i oddaniem tłumaczy teksty literackie, dorobek ma w tej dziedzinie wcale okazały. On jest moim troskliwym opiekunem i przewodnikiem w nawiązywaniu kontaktów. Albo Tasko Belcev, o podobnej biografii, lektor języka rosyjskiego, poeta, tłumacz, przygotowujący rozprawę doktorską z zagadnień polskiej literatury XIX wieku. Miałem przyjemność być w jego gościnnym domu. Znajduje się w kolonii domków, postawionych przez państwa, uczestniczące w akcji odbudowy miasta po kataklizmie. Spotkała mnie tutaj niebywała niespodzianka: gospodarz odczytał fragment „Pana Tadeusza" w języku macedońskim. Oto pierwsze strofy: „Litvo rodino moja kako zdavlje si za mene samo toj znae kolku treba da te ceni koj te izgubil". A zbiegają się te nici serdecznych więzi polsko-macedońskich w domu M. i J. Zaorskich, domu otwartym na oścież, więc gościnnym i wszystkich w gościnę zapraszającym. Dr Jacek Zaorski, adiunkt naszego Uniwersytetu, jest lektorem języka polskiego w tutejszym uniwersytecie. Nawiasem mówiąc, lektorat prowadzony jest od szeregu lat.

Wiele by o tych sprawach pisać można. W Skopje działa krąg wcale liczny, pisarzy, krytyków, ludzi teatru, którzy utrzymują żywe kontakty z polskimi twórcami. Do takich, zasłużonych w tym względzie, należy red. A. Aliksijev, świetnie obeznany z naszą twórczością literacką i dramatyczną, autor kilku przekładów. On to m. in. opowiadał mi o sukcesie w Macedonii „Stawki większej niż życie". Napłynęło takie mrowie listów do telewizji, iż trzeba było zaprosić S. Mikulskiego. Przyjechał, naturalnie — silne oddziały milicji chroniły go przed nawałą ciekawskich tłumów. Nb. podobnie wielkim powodzeniem cieszy się „Stawka" w Serbii.

Niewiele miałem dotąd czasu, ażeby zapoznać się z historią tego narodu, przez wieki gnębionego ze strony różnych maści okupatorów. Są to dzieje zaiste krwawe, pełne cierpień, prześladowań i męstwa; wielką cenę musieli zapłacić Macedończycy za swoją niepodległość. Ten temat powraca często w rozmowach, m. in. z pisarzami. Miałem bowiem zaszczyt być gościem Komisji d/s kontaktów z zagranicą, zaszczyt to był dla mnie, ale i prawdziwa przyjemność. Za krótko byłem, aby dokładniej zorientować się w tym, co się dzieje w literaturze i sztuce. Jest grono świetnych poetów na czele z S. Janevskim, B. Koneskim i G. Todorowskim, znanych nieco i u nas — wciąż wszakże za mało; jakoś niemrawo przygotowuje się u nas wydanie antologii poezji macedońskiej. Winniśmy także zdobyć się na antologię prozy, choćby przyswoić należało polszczyźnie ten zestaw utworów, które Macedończycy wydali własnym sumptem po angielsku. Do generacji G. Todorovskiego nawiązuje z rozmachem młode pokolenie, ambitne, prężne. Poznałem jednego z jego przedstawicieli, M. Rencova. I on wart jest przekładu. Spotkałem się m. in. w lokalu Związku Literatów z grupą dramatopisarzy. Był to z wielu powodów pożyteczny dialog, mogłem się przekonać, iż problemy, które ich zajmują i dręczą, w wielu punktach są zbieżne z naszymi, np. nie najlepsza sytuacja w dramaturgii. Teatr macedoński, nie włączając w jego dzieje wczesnych faz teatru cierkiewnego, powstającego pod wpływem kultury bizantyńskiej, liczy ponad sto lat, lecz jego właściwa historia mieści się w naszym wieku. Ten późny rozwój teatru bez trudu sobie wytłumaczymy sytuacją Macedończyków, skazanych przede wszystkim na walkę o ocalenie narodowe, cienką warstwą inteligencji itp. Warunki te kreśliły również rodzaj i tematykę dramaturgii, inspirowanej motywami społeczno-folklorystycznymi. To sprawy życia ludu, nie pozbawione ostrych akcentów satyry socjalnej. Miałem okazję obejrzeć w Skopje dwa dzieła historyczne z tego cyklu: „Zbiegłą" (Begalka) V. Iliovskiego i „Emigrantów chłopskich" (Pecalbari) A. Panova. Pierwsza z nich powstała w 1927, druga — w dziesięć lat później, obie sztuki znajdują się w żelaznym repertuarze, są bardzo żywo przyjmowane przez publiczność. Ten kierunek ma jeszcze swoich reprezentantów, większość z dramatopisarzy (K. Casul, T. Arsovski, D. Solev, B. Ivanov) fascynuje problematyka ogólna, problemy postaw moralnych, miejsca człowieka we współczesnym świecie. Na scenie Teatru Narodowego — w skład jego wchodzą opera i balet — widziałem interesującą, świetnie graną sztukę B. Pendovskiego „Pod piramidami" w konwencji absurdalnej. Obok tego teatru działa teatr dramatyczny i albańsko-turecki, przeznaczony dla mniejszości narodowych. Wreszcie wspomnieć muszę o amatorskim teatrze, niezwykle ambitnie prowadzonym przez młodych, żarliwych ludzi od roku 1970. Niestety, nie widziałem ich przedstawienia. To, co mi opowiadali jego twórcy, wzywając prawdopodobnie nie daremnie Grotowskiego na jednego ze swoich patronów, ogromnie mnie zafascynowało. Ostatnim przedstawieniem była inscenizacja poematu „Ewangelii wg Łukasza" S. Janevskiego, wystawiono je w otwartej scenerii, na wsi pod Skopje. Trzeba by ich koniecznie zaprosić na festiwal wrocławski.

Oto kilka zaledwie informacji i refleksji z miasta i kraju wielkich możliwości. Mówiono mi niejednokrotnie: jesteśmy małym liczebnie narodem, jesteśmy w środku drogi, mamy ostrą świadomość ogromnego wysiłku, jaki nas czeka, jaki podejmujemy każdego dnia. To miara przykładnej skromności. W podobne wyznania wierzy się bez żadnych zastrzeżeń. Odjeżdżam ze Skopje w chłodny, niedzielny ranek. Siąpi deszcz. Odjeżdżam z nadzieją, że kiedyś jeszcze tutaj powrócę. Taka nadzieja ma tę zaletę, iż rozgrzesza piszącego z ułomności jego zdania sprawy.

STANISŁAW KASZYŃSKI

(IV)

Z ZAPISKÓW JUGOSŁOWIAŃSKICH

Dalszy ciąg ze str. 1

obniżonym kursie, co najlepiej można pokazać na przykładzie Szwecji, Finlandii i Norwegii: tam, gdzie klezmer fiński i szwedzki grają po dwadzieścia pięć dolarów dziennie — Polak jedzie grać za osiem, płacąc z tego kilkadziesiąt centów PAGARTOWI.

No, ale tak czy owak — każdy taki wyjazd opłacał się. Wprawdzie w Skandynawii cholernie drogo kosztuje utrzymanie, ale za to tanie są używane samochody i nagłaśniająca aparatura. Trzeba więc przez kilka miesięcy zacisnąć pasa: jadać dwa razy dziennie w najtańszych garkuchniach (najlepiej ryż dmuchany), oduczyć się palenia, zapomnieć o kobietach (co najwyżej: od czasu do czasu pornograficzny film); jeżeli w kraju została rodzina, wymagająca finansowego wsparcia, to podesłać jej raz w miesiącu jakiś tandetny, ale łatwy do sprzedania w komisie ciuch. I oszczędzać, ciułać cent do centa, rozglądać się z rozwagą za używanym wrakiem samochodu i za porządnym wzmacniaczem. Robić znajomości z myślą o tym, że zapewne przyjedzie się tu jeszcze raz...

Po powrocie do kraju muzyk szybko nabiera godności. Znowu porządnie jada, pali, popija, wodzi znakomite dziewczyny. Czuje wreszcie, że żyje. Działa teraz mniej nerwowo. Gra tylko dobre chałtury. Angażuje się do luksusowych knajp, a jeśli w tych knajpach go nie chcą, to spokojnie czeka. Wie, że jest w okresie przejściowym. Stała praca już go nie urządza. Myśli o następnym wyjeździe, a kto raz był, temu drugi raz wyjechać dużo łatwiej: zdobył już przecież odpowiednią, choć nie zawsze pokrywającą się z umiejętnościami markę w PAGARCIE, ma za granicą ludzi, którzy mu pomogą podpisać kontrakt, albo tanio kupić drugi samochód. Co z pierwszym? Przed kolejną eskapadą zostaje sprzedany. Podobnie jak aparatura. Forsa, duża forsa (choćby samochód był stary, a wzmacniacz sfatygowany) zostaje przykładnie złożona w PKO. I wio! Znowu Sztokholm i Helsinki, gdzie muzyk czuje się jak u siebie w domu. Dostaje zazwyczaj większą dniówkę, więc poluje teraz na lepszy samochód i nowocześniejszą aparaturę... Zaciera klezmerskie rączki na myśl, co to będzie, jak za parę miesięcy wróci do kraju.

Pomieszczony w „Odgłosach" w lutym 1970 roku reportaż przyjęty był przez muzyków życzliwie. Był prawdziwy. Pokazywał kilka stron problemu. Zajmował się nie tylko zarobkami i obyczajami klezmerów, ale również ponurymi, zakulisowymi machinacjami różnych instytucji kulturalnych, które — wobec dużego natłoku ubiegających się o wyjazd zespołów — niejednokrotnie dopuszczały się ciężkich niesprawiedliwości: dobre orkiestry zostawały w domu — złe ni stąd ni zowąd otrzymywały kontrakty.

Z dobrze poinformowanych kół dowiedziałem się, że mój reportaż wywołał duży szum w PAGARCIE. Przez jakiś czas orkiestry łódzkie traktowane były w Warszawie życzliwie. Bieżący rok przyniósł jednak muzykom kolejną serię ciężkich rozczarowań, co potwierdza tezę, że często i z najróżniejszych powodów atakowany PAGART jest w dalszym ciągu instytucją bałaganiarską, służącą nie tyle polskiej kulturze, co określonym, pozaartystycznym sprawom.

Kilka miesięcy temu odbyło się w Warszawie przesłuchanie kandydujących do

Awantura nad harcerskim wyrem

(Dalszy ciąg ze str. 3)

aby spotkać się w dniu następnym z Komendą Obozu, ale bez rodziców.

Dzień drugi

— Ewa została usunięta decyzją całej Rady Obozu — informuje na wstępie Henryka S. — Wszyscy uważali, że inaczej postąpić nie można. Odwiózł dziewczynkę mój mąż, który na obozie pełnił funkcję zastępcy komendanta.

Henryka S. mówi z przekonaniem, z zawodu jest nauczycielką z ośmioletnim stażem, mąż jej pracuje w domu handlowym jako sprzedawca. Może dlatego nie umiem powstrzymać się od pytania:

— Czy zastosowano do Ewy gradację kar?

— Nie, została ukarana pierwszy raz.

— A ile godzin miała pełnić służbę wartowniczą?

— Od 22-giej do 1-szej w nocy. Wartę sprawdzaliśmy o godz. 11.45. Na posterunku Ewy nie zastaliśmy. Znaleźliśmy ją w namiocie śpiącą i to nie samą. Spała z chłopcem...

— Pani chyba żartuje, czy to możliwe? Proszę o szczegóły — powiedziałem, tym razem ja skrajnie poirytowany.

— Obudziłam ją i kazałam się ubrać. Była rozmemłana, więc wyszłam. Cóż miałam w tej sytuacji robić?

— Pan też to widział, panie S.?

— Tak... widziałem.

— A chłopiec?

— No co, chłopiec wziął spodnie pod pachę i wyszedł tyłem namiotu.

— A pan co wtedy robił?

— Nic, stałem. A co, miałem biec za nim, aby mu pomóc spodnie zapiąć?

— Proszę państwa — podjąłem temat bez większego przekonania. — Rodzice mogą zaskarżyć Komendę Obozu za brak dozoru i winowajcę, za uwiedzenie nieletniej.

Kim jest ów nieszczęśnik? — uczestnik obozu; dorosły, absolwent szkoły specjalnej, drużynowy, numer dowodu osobistego... (W rzeczywistości okaże się absolwentem ośmioklasowej szkoły podstawowej). Z obozu również usunięty. Miała być jeszcze usunięta Beata, także za zejście z warty, ale do niej przyjechał ojciec i została.

Dzień trzeci

Spotykam się z ojcem Ewy.

— Pana żona ma słabe nerwy, czy się nie mylę? Musimy porozmawiać jak mężczyźni. Chwilowo żona nie powinna znać prawdy. Zresztą, niech pan sam zadecyduje.

— Chcę znać prawdę.

— Zaraz pan ją pozna.

...To niemożliwe. Niech pan w to nie wierzy. Znam swoje dzieci. Pan też musi je poznać. Nigdy nie mieliśmy kłopotów, ani z Ewą ani z Dorotką. To są kochane dzieci. Dorota bardziej ruchliwa. Ewa wiecznie zatopiona w książkach. To jeszcze takie dziecko. Na świadectwie same piątki i czwórki. Opinia szkoły i Szczepowego — bardzo dobra.

— Proszę opowiedzieć wszystko od początku.

— To znaczy?

— Chodzi o powrót Ewy.

— W czasie, kiedy dzieci były na obozie w J., żona wyjechała do Krynicy. Ja pracowałem. Mam jednak taką pracę, że czasem muszę wyjechać w delegację. Tak było i tym razem. 6. VII. wróciłem do Łodzi z kilkudniowej delegacji. O godz. 23.45 odebrałem telefon od pani S., wie pan, chodzi o matkę Beaty, która również zeszła z warty, miała być usunięta, ale ją zostawiono. Pani S. informowała, że Ewa została usunięta z obozu i powinna być o 13.00 w domu. Powiedziałem, jak było, że Ewy nie ma w domu. Rano, tj. 7. VII. szukałem u znajomych i rodziny. U nikogo Ewy nie było. O godz. 11-tej zgłosiłem się w Hufcu. Komendantka, pani R., zapewniła mnie, że dziecko z pewnością jest na obozie, gdyż żadnego meldunku nie otrzymała.

— Przepraszam, kto był bezpośrednim organizatorem obozu w J.?

— Hufiec Łódź - Górna. 9. VII. odebrałem telefon od Pana S. (ojca Beaty). Pan S. pytał się, czy Ewa jest w domu. Odpowiedziałem, że Ewy nie ma i nie było. Pan S. dodał, że Ewa została przewieziona do Łodzi i że komendantka obozu prosiła go, aby wysłał telegram na obóz, czy Ewa jest w domu. To była na pewno niedziela. 10. VII. zgłosiłem się do komendantki Chorągwi, pani A. której zrelacjonowałem stan faktyczny. Pani A. oświadczyła mi autorytatywnie, że dziecko jest na obozie, poza tym nic o sprawie nie wie. 13. VII. dowiedziałem się od rodziny, że Ewa przyjechała do Bełchatowa, dokąd udałem się niezwłocznie. Córka prosiła, abym się na nią nie gniewał. „Chciałam sobie coś złego zrobić" — powiedziała. W dniu 14. VII. powróciła do Łodzi żona i w szafie ujrzała osobiste rzeczy Ewy. Natychmiast zadzwoniła do siostry w Bełchatowie, po czym przyjechała taksówką. Tu żona dowiedziała się, że córka po przyjeździe do Łodzi była jeden dzień w domu, a następnie udała się do Krynicy Górskiej w poszukiwaniu matki. Adres córka znała z korespondencji. Po usunięciu prosiła, aby ją odwieziono do Krynicy, ale stało się, jak pan wie. Żona w tym czasie wyjechała do Gdyni ze względu na niedomaganie serca.

— Chciałbym zobaczyć Ewę, czy to jest możliwe?

— Córka jest w Bełchatowie, ale jutro rano będzie do pana dyśpozycji.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Zmierzch saksofonów

wyjazdu zespołów. Muzycy powrócili z tego przesłuchania w euforii. Niemal wszystkie łódzkie grupy wypadły znakomicie, wywołując niekłamane zainteresowanie kontrahentów z Jugosławii i Finlandii. Oj, posypią się kontrakty! — mówili muzycy i zaczęli poważnie szykować się do wyjazdów.

Czy wiecie, jak takie przygotowywanie się wygląda? Jest to ciężka i mozolna praca, nie przynosząca przez kilka miesięcy żadnych zysków, pociągająca natomiast za sobą wielkie wydatki. Codzienne, wielogodzinne próby, w czasie których buduje się odpowiedni i aktualny, mający szansę sprawdzić się w danym kraju repertuar. Kompletowanie aparatury. Szycie kostiumów. Załatwianie formalności paszportowych. Permanentne telefony i wyjazdy do PAGARTU, który może już coś wiedzieć, ale sam się przecież nie odezwie, więc trzeba nieustannie go nękać, przypominając się na wszelkie sposoby i podlizując.

Jeden ze znajomych klezmerów powiedział mi, że każdy miesiąc takich przygotowań przynosi mu co najmniej trzy tysiące złotych straty. Toteż z czasem, kiedy wyjazd zaczyna się odwlekać, muzycy wpadają w panikę, że niebawem skończą się ich wszystkie oszczędności. Poza tym każdego dnia muzyk staje do walki z dylematem: czekać na kontrakt zagraniczny, zdając się na łaskę kapryśnego losu (czytaj: PAGARTU i różnych obcych agencji), czy też brać jakąkolwiek pracę w kraju? A jedno drugie wyklucza. Z chwilą, kiedy podpisze się wielomiesięczną umowę z jakąś instytucją polską, wyjazd zostaje automatycznie przekreślony, nie sposób bowiem wykręcić się z podjętych na piśmie zobowiązań.

Wiosną Jugosławię nawiedziła ospa. Było to powodem wstrzymania wielu wyjazdów. Adriatyckie agencje wpadły na jakiś czas w milczenie. Kiedy jednak w maju alarm został odwołany i konkretne polskie (w tym także łódzkie) zespoły zaczęły otrzymywać oferty, PAGART nie stanął na wysokości zadania. Siedzący na walizach muzycy przeżywali ciężkie chwile. Albo nie było na czas paszportów służbowych, które załatwiane są na wniosek PAGARTU, albo nie przyszło na czas zawiadomienie o wyjeździe i w miejsce jednej orkiestry wyjeżdżała druga, albo znowu — wedle wyjaśnień PAGARTU — zmieniły się z dnia na dzień decyzje zagranicznych agentów...

Zaczynam wierzyć (bez ironii!), że w Jugosławii i Finlandii instytucje powołane do angażowania orkiestr zaraziły się stylem pracy PAGARTU. I tu i tam nie ma nic pewnego. Żaden telegraf i telefon, ba! żaden kontrakt nie gwarantuje jeszcze muzykowi wyjazdu. A jak wyjedziesz, to też nie wiadomo, czy jutro nie wrócisz. Widziałem muzyków, którzy wezwani telegraficznie do Warszawy, zaopatrzeni w bilety na pociąg czy samolot, do cna wyprani z pieniędzy, ale radośni — wracali po paru godzinach do Łodzi w czarnej rozpaczy. Jedna z najlepszych, sześcioosobowych łódzkich orkiestr, mająca telegraficzne zapewnienie wyjazdu w komplecie do Finlandii, oblana została w ostatniej chwili zimną wodą. Wyjazd opóźnił się o miesiąc, a następnie zespół został rozbity na dwie części — pierwsza wyjechała w końcu czerwca, druga na początku sierpnia, w pierwszej znajdował się mąż piosenkarki, która wyjechała z drugą...

Foto: T. Płaszewski

Jeszcze większe niespodzianki spotkały inny łódzki zespół, który przez wiele miesięcy mamiony był przez PAGART nadzieją wyjazdu. Już, już byli jedną nogą w pociągu — i kontra! Powtarzało się to kilka razy. W końcu jednak muzycy otrzymali solenne potwierdzenie angażu. Tym razem PAGART nie nawali już z paszportami! Wszystko dopięte, przygotowane — można kupować bilety! Więc ci ludzie zaczęli się zwalniać z innych zajęć, odrzucać korzystne propozycje krajowe, pakować ciężki grosz w ubiory i aparaturę... Jeden z muzyków zapożyczył się na kilka tysięcy. Inny, odkładający na mieszkanie, kupił pod namową kolegów za trzydzieści tysięcy elektryczne organy marki „Weltmeister", żeby przydać orkiestrze modnego brzmienia... I wtedy właśnie spadł na nich ten druzgocący cios. Kontrakt zerwano. Nie wiadomo, w każdym razie nie wiedzą o tym zainteresowani i zrozpaczeni muzycy, czy jest to rzeczywiście wina agencji jugosłowiańskiej, czy też zwód beztroskiego PAGARTU, który znowu zamiast jednej orkiestry wysłał drugą, nie przejmując się zbytnio tragedią, jaką to pociągnięcie wywołało.

Tak więc w ostatnim czasie sytuacja klezmerów uległa dalszej przemianie. Wyjazd już nie zawsze się opłaca, a przygotowania do wyjazdu przypominają coraz częściej grę w ciemno...

Znany łódzki muzyk jazzowy, Zbigniew Horyd, grający kiedyś w takich zespołach, jak „Melomani" i „Tiger Rag", poruszony drukowanym w „Panoramie Śląskiej" artykułem Andrzeja „Ibisa" Wróblewskiego o wędrówkach muzyków za granicę, wystosował do niego list. Redaktor Wróblewski nie skorzystał z zawartego w tym liście materiału, w związku z czym pismo trafiło do moich rąk. Myślę, że nie od rzeczy będzie zacytować obszerne jego fragmenty. Przecież pisał to człowiek, który zna sprawy klezmerskie od podszewki:

„Mam prawo twierdzić, że istnieje duża nadprodukcja w naszych szeregach. Nie starcza pracy dla wszystkich tych, którzy legitymują się profesjonalizmem, tzn. przynależnością do Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki. Co roku ze szkół muzycznych w Polsce wychodzą nowi, młodzi, zdolni instrumentaliści. Znaczna ich część zasila orkiestry symfoniczne, opery, operetki (stara gwardia powoli się wykrusza, to jest przecież naturalne), ale część zaczyna uprawiać muzykę innego rodzaju, jak pop, beat czy jazz. Najzdolniejsi, gdy mają szczęście, zostają wyłowieni przez obrotnych kierowników zespołów muzycznych na ewentualne wyjazdy za granicę. Inni grają w klubach zakładowych, które są raczej domeną zespołów amatorskich (przeciętne wynagrodzenie na wieczorku klubowym wynosi 150 zł, gra się przeważnie w soboty i niedziele). Dla amatora, który pracuje w zupełnie innym zawodzie, jest to, po prostu, miesięczny dodatek do pensji w wysokości brutto 1 200 zł. Owi amatorzy, po jakichś iluzorycznych sukcesach, uważają często, że są już dojrzali do zajmowania się muzyką profesjonalnie. Przy tak masowym amatorskim ruchu muzycznym, stale powiększa się grono „profesjonalistów", żyjących tylko z uprawiania muzyki. Jakie znaleźć tu wyjście z sytuacji, gdy nie starcza potem pracy dla wszystkich? (...) Od dwóch lat współpracuję (wraz ze swoim stałym zespołem) z PAGARTEM. W tym czasie byliśmy dwa razy w Jugosławii i raz w Finlandii. Przeciętne wynagrodzenie muzyków, grających za granicą, wynosi miesięcznie około 250 dolarów USA. Z tego płacimy prowizję dla PAGARTU w wysokości 15 proc. Pierwszą sprawą, którą się załatwia za granicą jest nabywanie instrumentów. Są to sumy niebagatelne. Nasz handel nie prowadzi sprzedaży odpowiedniego sprzętu do uprawiania muzyki zawodowo, więc musiałem wydać za granicą około 600 dolarów, aby kupić sobie niezbędny do pracy sprzęt. Dziś każdy zespół muzyczny musi nie tylko doskonale grać, ale i śpiewać. Kupuje się więc aparatury nagłaśniające, mikrofony, kamery pogłosowe, echa. Bez tego nic się już nie zrobi. Niektórzy, szczególnie młodzi muzycy, po pewnym czasie przebywania za granicą, załamują się psychicznie. Grają tu rolę takie czynniki, jak rozłąka z rodziną i dziećmi, nostalgia, samotność, obcość otoczenia i ciężka praca, w ramach której trzeba robić „show". Wielu ludzi zazdrości nam, myśląc, że zarabiamy krocie. Nic z tych rzeczy! Haruje się ciężko, płaci kolejną ratę za organy Hamonda, resztki pieniędzy wysyła się rodzinie na PKO. Wróciliśmy w grudniu ub. roku z Jugosławii. Do dziś dnia pozostajemy bez pracy, czekając na kolejny kontrakt za granicą. Podczas naszej nieobecności sytuacja na krajowym rynku znów się pogorszyła. Gramy od przypadku do przypadku, z trudem wiążąc koniec z końcem. (...) Przykre są również dla nas takie sprawy, jak brak ubezpieczeń na wypadek choroby. Jeśli ktoś z nas zachoruje, jest traktowany tak, jak właściciel prywatnego, dobrze prosperującego sklepu. Musi płacić i to sporo. A przecież przynosimy państwu spory dochód dewizowy. Dlaczego tylko pracujący etatowo muzycy mają prawo do ubezpieczenia? Mała jest wśród nas garstka ludzi, którzy dużo zarabiają, biorąc tantiemy z ZAiKS-u, czy honoraria za aranżacje. Czy jeszcze ciągle nie dojrzała chwila, aby uznać również nasz postulat w sprawie rent? Przecież w końcu zestarzejemy się i nie będziemy już mogli występować na estradzie. Co wtedy? Chciałbym przestać jeździć za granicę, osiąść w Łodzi, ustabilizować się, ale na razie nie mam na to szans. (...) Jeżeli Pan Redaktor mógłby wykorzystać mój list dla wyjaśnienia wielu ludziom, jak wygląda życie tak zwanych klezmerów (słowem tym oznacza się muzyków, którzy grają w lokalach. Jest to, niestety, określenie pogardliwe, ubliżające, „klezmer" to nie artysta, ale przecież człowiek), to zyskałby Pan sobie wdzięczność naszej rzeszy, o której mało kto wie, jak żyje naprawdę. Ciąży na nas niska ranga naszego zawodu w społeczeństwie, a to boli".

Wydaje się, że te pełne goryczy słowa zasługują na uwagę władz kulturalnych i publicystów, zajmujących się problematyką muzyczną.

— Czy pomyślał Pan o zbadaniu Ewy?

— Tak, jutro żona zaprowadzi ją do lekarza.

— Umawiamy się w domu pana B. w dniu następnym.

Dzień czwarty

Po drodze odwiedzam mieszkanie Urszuli M., członka Rady Obozu w J.

— Jestem z redakcji, czy zastałem druhnę Urszulę?

— Wyjechała. Jestem matką, czy coś się stało?

— Nie — uspokajam — wszystko w porządku. Czy Urszula mówiła coś o obozie w J.?

— Tak. Mówiła, że Ewa niesprawiedliwie została usunięta. Wprawdzie zeszła z warty, ale mogła otrzymać lżejszą karę, np. naganę.

Wychodzę. Towarzyszy mi znajoma, studentka biologii UŁ. Wszędzie chodzę ze świadkiem.

— Co się tak zawziąłeś na tę sprawę? Najwyższa pora, żebyś wyjechał, to przecież koniec lipca.

Zwięźle wyjaśniam sprawę.

— Nie wierzę w te portki i w ogóle. To typowy styl myślenia dorosłych.

— Chwileczkę, jeszcze nie widziałaś tej Ewy. Wedle opinii Komendanta Obozu, to rozwinięta dziewczyna, a nawet wyczułem lekką sugestię — rozwydrzona. W domu karana biciem. To szalenie ważne.

Ewę zastaję przy książce. Wstaje, przyjmuje postawę zasadniczą. Staram się wzrok przenosić w miarę dyskretnie. Owszem, wzrost słuszny, rysy dziecka.

— Co ty, Ewo, w taki upał przy książce?

— Ona już tak zawsze. To jej ulubiony sposób spędzania czasu — wyręcza Ewę matka.

— Opowiedz, jak to było z tą wartą.

— Byłyśmy wyznaczone z Beatą. Ja koło namiotów, ona koło bramy. Beata jednak bała się stać przy bramie. Kłóciłyśmy się, gdzie która ma stać. Druhna kazała ustalić między sobą. Był potworny bałagan. Wszystko to się tak pokręciło, że Beata zeszła z warty, a ja stałam w końcu przy bramie.

— Ile godzin miałaś stać na warcie?

— Od 20.45 do 2-giej.

— Sama?

— Nie, pomagał mi Tadek J. Tadek pomagał mi z dobrej woli, tak po koleżeńsku, gdyż uważał, że w tym miejscu jest za ciężko dla mnie. Powiedział nawet dosłownie: chłopak to chłopak, zawsze da sobie radę, a dziewucha rozpłacze się i już flagi nie ma, albo i namioty oczyszczone. Tadek — to drużynowy z męskiego obozu. Zdaje mi się, że należał do kadry. Prowadził zajęcia i chodził na odprawy.

Parę minut przed dwunastą poszłam do namiotu po skafander, gdyż zrobiło się chłodno. Za mną wszedł Tadek. Sięgnęłam po skafander i usiadłam na pryczy. Przy mnie usiadł Tadek. Rozmawialiśmy nie więcej niż 10—15 minut. Nagle ktoś wszedł do namiotu i zaświecił latarką. Wyszłam natychmiast przed namiot. Resztę pan już wie.

— Do mieszkania wchodzi kilka osób i ustawia się w szeregu.

— Skąd tu się wzięliście, przecież nikogo nie prosiłem?

— Jest pan w strefie działania Szczepu „Grunwald" — pada odpowiedź — a przed naszym okiem nic się skryć nie da.

— Spocznij! — rozkazuję. — Kim jesteście?

— Byliśmy uczestnikami obozu w J. Możemy na ten temat dużo powiedzieć. Nie mamy zamiaru tu plotkować. Powiemy, jak było. Nigdy nie kłamiemy. Nigdy nie splamiliśmy munduru harcerskiego. Chce pan? O wszystkim może świadczyć nasza dotychczasowa służba i nasz Szczepowy.

Mówi Ania N.:

— Stałam na warcie, gdy sprawdzający podeszli do mnie i bodaj druhna komendatka kazała mi iść szukać Ewy. Do namiotu pierwszy wszedł druh S. i zaświecił latarką. W jej świetle ujrzałam Ewę siedzącą na pryczy. Ewa zerwała się i zaraz wyszła przed namiot. Druh S. i druhna S. polecili mi iść na wartę. Był tam jeszcze drużynowy Tadek. Siedział obok Ewy. Jak wyszedł, nie wiem, bo szybko odeszłam.

— Może Urszula powie, byłaś członkiem Rady Obozu.

— Sprawę Ewy rozpatrywała Komenda bez wiedzy Rady Obozu. Rada Obozu rozpatrywała sprawę Beaty i tu wszyscy byli za usunięciem, gdyż jednakowo zawiniła.

— Chyba teraz — po obozie — możecie powiedzieć, czy sprawiedliwie ukarano Ewę?

— Ogólna opinia jest taka, że nie było za co usuwać. W obozie męskim także zdarzały się wypadki zejścia z warty. Gorzej, raz cały zastęp harcerzy w dzień zrobił wypad na miasto. Ale to nic, oni wrócili pijani, i to w mundurach. Dostali tylko siedem dni karniaka pracy w kuchni.

— Jeden nawet w izolatce leżał — odzywa się najmłodsza harcerka, Dorotka, która wśliznęła się nie wiadomo kiedy.

— Skąd ty to wiesz?

— O, ja wszystko wiem. Chłopcy sami mówili, że wypili sporo butelek patykiem pisanego, ale ile, to ja nie powiem.

— Czy prawdą jest, staliście na warcie do pięciu godzin?

— To normalne — odpowiada Waldemar N. — Ja miałem raz służbę nawet 19 godzin. To samo wypadło Jankowi. Nie wiemy dlaczego po tyle.

Do rozmowy włącza się Szczepowy, Pan S.

— Ile — pytam — regulamin harcerski pozwala stać na warcie?

— W wojsku stoi się dwie godziny. W harcerstwie jest inaczej. Tu uwzględnia się wiek harcerza, a także pogodę.

Bez namysłu wymienia trzy warianty organizacji warty.

— Proszę pana, dla harcerzy służba powinna być jeszcze jedną frajdą, a nie jakimś nieszczęściem.

— Ewa — to wzorowa harcerka. Nie mam żadnych zastrzeżeń. Ewa i Dorota, to moje podpory. Nie pozwolę na nich złego słowa powiedzieć. Ewa jest bardzo młodą harcerką. Szczep „Grunwald" powstał 19 stycznia. Była prawie na wszystkich biwakach, bodaj piętnaście było. O awanturze w namiocie nawet słyszeć nie chcę. „Grunwald" — to cała historia. Do dziś nie jesteśmy zatwierdzeni, chociaż działamy zgodnie z regulaminem. Mamy sporo sprzętu, dobrą współpracę z wojskiem, poparcie środowiska, opanowane sprawy wychowawcze na osiedlu. Młodzież się do nas garnie. Ale dla Hufca jesteśmy zakałą. Przez nas rozpadają się im drużyny, do nas ucieka kadra.

— A na obozie — wpada dwunastoletnia Dorotka — stale nam wypominano, że jesteśmy z „Grunwaldu". Co by się nie stało, to na pewno ci z „Grunwaldu", znowu ci. I tak już prawie zawsze.

WITOLD SŁOTWIŃSKI

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

DRYNDZIARZ I SMĘTEK

Latem niezbyt odległego roku zwaliliśmy się: żona, dzieci i ja — na kark koledze. Mieszkał wówczas w Ostródzie, dokąd przeniósł się wraz z rodziną z naszego „Kominogrodu", jako że dawna atmosfera jego życia astronomicznego nie wolna od rozróbek i typowych dla czasów minionych podejrzeń o niedogorliwość, zbyt mocno dokuczała w jakimś momencie temu dobrodusznemu i niedostatecznie zaawansowanemu w dyscyplinach etapotologii badaczowi łagodnych gwiazdozbiorów.

X sam się stał poniekąd sprawcą tego zwalenia mu się na kark, nieostrożnie bowiem odezwał się pod koniec maja, pisząc, że jest tu od paru lat posiadaczem, czy użytkownikiem peryferyjnego domku z ogródkiem, w którym uprawia z powodzeniem pomidory oraz nader naówczas postępową kukurydzę, a wieczorami, czasem przy świecy, gdy zdarzy się przerwa w dopływie prądu, oddaje się fascynującym badaniom czegoś tam, co dotyczy Tarczy Sobieskiego.

Biedny X! Nasz hałaśliwy przyjazd mocno musiał wytrącić go z rytmu jego codziennych zajęć. Do koronnych obowiązków gościnnego gospodarza należała teraz walna pomoc w corannych kolektywnych molestacjach, by mój syn niejadek zjadł należycie śniadanie, także i zabiegi u sąsiadów o wypożyczanie ich Burków i Kajtków do zabawy dla mojej Debory, która od dziecka zapowiadała się na tęgą psicę. No i wiele innych służebnych powinności wynikłych z egzekwowania przez nas nakazu „Bóg w dom".

Na szczęście jednak dla niego — i może dlatego nie będzie już tu o koledze X więcej mowy — żona moja nie była wówczas tak zdeklarowaną domatorką jak dziś, toteż zaraz po śniadaniu opuszczaliśmy całą czwórką dom naszych gospodarzy. Opalaliśmy się w dzikich trawach po drugiej stronie Jeziora Drwęckiego, po którym snuł się malowniczy statek uwożący stremowanych turystów do Elbląga — poprzez różne wodne młyny diabelskie, śluzy, charybdy i scylle zamieszkałe przez kormorany, czarne bociany i inne przedpotopowe bestie. Pędziliśmy lato leśnych ludzi w liwskim borze, ze Wzgórza Napoleona obserwowaliśmy oczyma wyobraźni marsze i kontrmarsze naszych i nie naszych bijących tu przed stupięćdziesięciu laty w tarabany. W Miłomłynie myszkowaliśmy wśród wątłych gruzów i dołków po przedwiekowej rezydencji biskupów pomezańskich. Ale zaczęliśmy nasze ekskursje całkiem przykładnie od poznawania samej Ostródy.

Bywałem w niej dawniej. Po raz pierwszy na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Przywiózł mnie tutaj jeepem nieodżałowany Tadeusz Stępowski, jeszcze wówczas nie pisarz, lecz imprezowiec „Czytelnika", energiczny, ofiarny i niemało przygnębiony ogólnym bałaganem i fatalnymi posunięciami administracji. Miałem odczyt na jakiś niedostosowany temat w podpartym kamieniami budynku o niepokojąco wybrzuszonych stropach wobec różnoetnicznych słuchaczy, przybyłych tam z niejasnych dla mnie, i zapewne dla siebie, powodów, apatycznych i cuchnących wódą. Owa sala była pars pro toto ówczesnego miasta bez programu, zharatanego przez wojnę. Nie zaglądałem tu coś przez osiem lat. Teraz przekonywałem się z radością, że tamten przykry obraz należy już zdecydowanie do przeszłości. Miasto wyporządniało, zurbanizowało się i wraz ze swą „wagonówką", przemysłem, szkołami, otwarciem na nieufnie w ubiegłym okresie traktowaną (jako przejaw drobnomieszczańskiego indywidualizmu) turystykę — weszło, że tak powiem, w rytm czasu ogólnopolskiego. Jego zegary nie chodziły już teraz wolniej niż gdzie indziej i jego mieszkańcy, osiedli i jako tako wżyci, nie wydawali już mi się bynajmniej różni od mieszkańców Małkini, Tomaszowa czy Wielunia.

Zauważyłem jednak, bo trudno było nie zauważyć, że miasto odbudowywało się i modernizowało raczej systemem obwarzankowym. Podobnie zresztą jak sporo innych połamanych przez wojnę miast, które przegapiły „etap", gdy na „górze" dobrze było notowane wskrzeszanie starówek. Jego najściślejsze centrum niezbyt było odbudowane i sprawiało wrażenie ziemi martwej, zaś ratusz, zabytki sakralne i zamek, w którym po Grunwaldzie złożono zwłoki Ulricha von Jungingen i gdzie po wiekach rezydował przez znaczną część pruskiej kampanii Napoleon, stały ruiną, prowizorycznie tylko zabezpieczoną. Ale ta konstatacja, którą, choć jestem jak X, astronomem, pozwalam sobie tu przyrównać do napomykania o plamach na słońcu, tyczyła tylko niedużego starego centrum.

Jednym ze zjawisk pozytywnych, które rzuciło mi się w oczy zaraz po „doczołganiu się" z naszymi walizami przed pojazd dworcowy, wydało mi się, po dzisiejszemu mówiąc, znaczne usamochodowanie miasta. W te i wewte pędziły wściekłe krążowniki ulic, jazgocząc niezbędnym dla twóczo przemysłowych potrzeb żelastwem, tak samo pośpieszne pekaesy, a przy samym podjeździe, na miejscu zapamiętanych drynd, czekał na nas cały sznur ponumerowanych warszaw, które bodaj już wtedy zaczęto nazywać „taxi".

Czekał — a jednak wybraliśmy dryndę. Bodaj przez syna, który uparł się, a dzierżył już wtedy, w ścisłym dumviracie z żoną, odpowiedzialne obowiązki głowy domu. Wcale zresztą nie oponowałem. Dla małego kominogrodzianina był to już środek lokomocji z bajki, dla mnie zaś — z przeszłości, do której, jako pan już wówczas w wieku średnio średnim, zaczynałem po trosze tęsknić. Drynda stała sobie skromnie z boku — jako pojazd bez szans, uplasowany tu raczej tylko na mocy siły przyzwyczajenia jego właściciela. Była znacznie nadszarpnięta zębem czasu. Leciwy i mocno zeszkapiały rumak — mimo wielkiej przyjaźni, jak, niebawem przekonałem się, żywił dlań jego chlebodawca — wydał mi się doskonałym sobowtórem Kichotowskiego Rosynanta. Od pierwszego wejrzenia poczułem — czy poczuliśmy — sentyment i do samego mistrza bata, wąsatego chudeusza, który od Rycerza o Smutnej Postaci różnił się na pierwszy rzut oka — odmienności charakterologicznych jeszcze nie mogłem znać — iście mazurską wiechą wąchów oraz nosem nieco paprykowatego kształtu.

Żona swoje obawy, żeby „koń nie poniósł" złożyła na ołtarzu macierzyńskim miłości. Syn siadł na koźle i ujął lejce z pewnością siebie starożytnego Faetona, dryndziarz z miejsca rozgadał się okazując się typowym dryndziarzem-filozofem, jakiego potrzebowałem — uświadomiłem to sobie wtedy — dla swych obserwacji pisarskich — i przyjaźń została zawarta.

Odtąd co dzień rano zajeżdżał on przed „nasz" peryferyjny domek z pomidorami i kukurydzą i wiózł całą czwórkę, gdzieśmy sobie tylko zażyczyli, bądź on zażyczył.

— Panie, a koń nie poniesie? — upewniała się zawsze żona.

— Gdyby był głupi, to by może i poniósł, ale on, moi złoci, jest mądrzejszy od niejednego, co nami tutaj rządzą i w kółko gadają, że przedtem nie było nic i dopiero jak się oni wzięli za władzę... Ponoszą tylko taksówki.

Zwracał się potem do mnie:

— Tu, panie dyrechtorze, nie było nic, same jedne gruzy były. Dopiero ja tu taki siaki porządek zrobiłem.

— Tak? I co pan tu zrobił?

— Jak to, co? Przedtem tu nie było nijakich dorożek, same gruzy. Dopiero ja z dorożką nastałem. A te warszawy, te taksówki, to, z przeproszeniem pana dyrechtora, śmierdzą gorzej od iperytu! A ty, chłopalu — do syna — batem nie siepaj. Tylko Niemcy batem siepali, wiesz?

Potem zabawiał nas nowinami miejscowymi:

— Heca była, że... Jeden frajer wygrał milion złotych na tę nową loterię. Wiecie, moi złoci, co zrobił? Prawie wszystko oddał państwu na powrót. A powiedział tak: „Na co mi, wdowiec jestem, za wiele forsy". Więc sobie kupił tylko taką grubą, mechatą jesionę w kratę, no i tego śmierdziela na kółkach. O, właśnie, tfu! — minęła nas w tej chwili jakaś warszawa. — Tyy! Urszula! Wioo! Prześcig chuligana! Gdzie każecie zatrzymać?

Pierwszego dnia „kazaliśmy zatrzymać" przy placu Linkego, właśnie w sercu śródmiejskiej pogorzeli. Stoi tam wypalony ze szczętem zbór, ongiś kościół. Jeszcze, jak uczą przewodniki, z pierwszej połowy czternastego wieku. Spodziewałem się, że moje panie przeżyją tu małą przygodę architektoniczną: zaprzątnięta do roboty wyobraźnia pozwoli im wygładzić mury, przypory, wprawić szybki w ołowiane plastrony, nakryć partię nieba miedzianą łuską, wszystko scalić i ujrzeć świątynię w całym średniowiecznym przepychu. Ale nic z tego nie wyszło. Widocznie ze zwęglonych i zagrodzonych płotem murów zbyt na nie silnie emanowała trupia i posępnie germańska obcość. Rzuciły tylko przelotnie okiem i kazały się bez żadnych przystanków prowadzić do tego zamku, gdzie mieszkała z Napoleonem ta Walewska. Syn projektowi przyklasnął, nie zrażony faktem, że wszelkie dotychczasowe oględziny zamków nie zniosły, jak na razie, jego marzeń o basztach i blankach na szczytach niebotycznych gór.

Znalazłem się w tym momencie w sytuacji, jak na przewodnika, trochę kłopotliwej: pamięć nie chciała mi podpowiedzieć ani jak się stąd do zamku idzie, ani nawet, jak on właściwie wygląda, a zawsze traktuję swe obowiązki cicerone z należną powagą. Plac, jak już bodaj wspominałem, nie był zbyt uczęszczany i naokoło dostrzec nie mogłem żywego ducha, ktory by mnie wybawił z kłopotu.

Nagle ukazał się jak spod ziemi po przeciwnej stronie placu ktoś mocno stary i siwy. Biel jego włosów żywo kontrastowała z ciemną ex naturą czy tylko ogorzałą cerą. Ubrany był bardzo schludnie, ale jak na kanikułę, miejscowość turystyczną i przede wszystkim początek lat sześćdziesiątych nad wyraz osobliwie. Miał na sobie czarny tużurek, na lekko przystrzyżonych włosach okrągły kapelusz z małym rondem, szyję zaś uciskał mu sztywny biały kołnierzyk. Taką właśnie obręcz, doczepianą z tyłu spinką do koszuli, jaką mi w dawnych czasach kazały nosić ciocie Latyńskie, nie dając się przekonać, że takie rzeczy nosił u nas już tylko rejent Frążeliński, nigdy zaś nowocześni sportowcy.

Staruszek zatrzymał się, lecz na moje pytania, odparł łagodnie i przepraszająco:

— Es tut mir sehr leid, aber ich werstehe nicht polnisch. Ich bin, leider, schon zu alt um sich können lernen.

Tak mnie ten niemiecki, a ściślej fakt nieznajomości na ziemi polskiej polskiego zaskoczył, że na chwilę zaniemówiłem, a gdy odezwałem się — wynik zaskoczenia i wieloletniego nieposługiwania się tamtym językiem — zamiast o zamek (das Schloss), spytałem... o klucz (der Schlüssel).

Wtedy podeszła żona. Ma ode mnie szybszy refleks i zdumiewającą łatwość nawiązywania rozmów z nieznajomymi z każdego środowiska. Jej kolokwialny niemiecki, okazało się, lepiej wytrzymał próbę czasu niż mój.

— Jestem całkowicie samotny. Teraz już tu nikogo nie mam z bliskich — rozgadał się staruszek po doprowadzeniu nas do bynajmniej nie majestatycznej rudery; był, takie przynajmniej odnosiłem wrażenie, podekscytowany sytuacją, że ma do kogo usta otworzyć. — Wszyscy moi wyjechali stąd. Ostatni nawet niedawno. Chcieli mnie wprawdzie zabrać, lecz nie zdecydowałem się: tu spędziłem ogromnie dużo lat pracy, więc tutaj chcę złożyć... pewnie chciał powiedzieć „kości", lecz nie dokończył zdania.

— Ee, zupełnie młodo pan jeszcze wygląda! — powiedziała żona, jak każe w takich razach dobry obyczaj.

— Raz jeden tylko wyjechałem stąd, po pierwszej wojnie — zwierzał się dalej — ale na krótko. Morskim statkiem — podkreślił nieco komicznie. Widocznie nie tylko sam wyjazd, lecz i ów środek lokomocji był w jego prowincjonalnym życiu ewenementem... — Czasami mi moi przysyłają jakieś wsparcie, a i tutejsza opieka społeczna pomaga — wyjaśnił staruszek, gdyśmy zapytali, z czego żyje. — W moim wieku nie ma się wielkich potrzeb.

— Chodźmy już w końcu do tego lipnego zamku, albo zjeżdżamy do chałupy, bo wieje jak psi! — zadecydował syn.

Rzeczywiście, od paru minut dął porywisty wiatr i zdawało się, jęczał przypadając do załomów muru.

— Tylko nie psi, głupi Wojtasie! — żachnęła się Debora, już i wtedy tęga psica.

Pożegnaliśmy się z samotnym Niemcem.

— Doktor Fritz Sme... meine Name — przedstawił się pochylając głowę, z typową dla staruszków troską o nienaganne maniery, które nasze pokolenie w obyczajowych konsekwencjach wojny w poważnym stopniu zarzuciło, a młode nie podejmuje.

Ponieważ doktor mówił cicho, poryw wiatru sprawił, że nazwiska nie dosłyszałem. Zresztą nie starałem się dosłyszeć, bo po co?

Na drugi dzień nasz Automedon też zajechał przed domek z pomidorami. Jego nieruchoma sylweta stylowo oprawiona w ramy okien wprawiła mojego syna w taki zachwyt, że śniadanie zjadł po harcersku, bez zwykłych naszych krasomówczych zabiegów i forteli.

— Dzisiaj powiozę was honorowo, żebyście obejrzeli miasto nie jak te kajakarze, tylko ludzie poważne — oznajmił nam dryndziarz na wstępie. — Nuu! Wioo, Urszula! Pokaż warszawiakowi z Kulparkowa, że jesteś Nurmi. — Tę część perory skierował do konia, wskazując końcem bata czarne auto, wolno przesuwające się wzdłuż chodnika z wyraźną intencją zapolowania na lebka.

— Panie, a Urszula nie poniesie? — upewniała się żona.

— Gdyby była głupia, może by i poniosła, ale jest mądra... Batem, chłopalu, nie. Batem to Niemcy wywijali. No i jak zamek? Widzieliście moi złoci, jakie przy nim wozownie? Podobno i dwadzieścia karet mieściły.

— Jaki tam zamek? Stara buda — oznajmiły dzieci.

— Stara, tak — zgodził się pozornie — ale pomimo tego cysarzowi Napoleonowi przypadła i to bardzo, tak, że się nawet kazał tam koronować.

Tak rozmawiając objeżdżaliśmy miasto dookoła i nasz bałagula, w przerwach generalnego dyskursu, wytykał bat w różne strony świata i pokazywał — a to nową, czy stara szkołę, a to pralnię, a to znowu świeżo pobudowany żłobek.

Jego informację o Napoleonie czułem się zmuszony w imię prawdy sprostować.

— Może tam się i w Paryżu koronował, a może tu. Ja przy tym nie byłem ale... — zmrużył szelmowsko oko, co, wcale zresztą nie uszczuplając jego podobieństwa do Don Kichota, czyniło zeń nader bliskiego krewniaka Zagłoby — dzisiejsze historyki tyż nie byli. Moje zmartwienie? Moje zmartwienie to, żeby tu dobry porządek był. Zawsze to im tłumaczę, bo ja każdego jednego w tym mieście znam. Tylko, że nasze przewodniczące teraz już nie chcą, żeby ich wozić. Motoryzację wolą: a to jest nowy blok, on będzie raz-raz otynkowany, tylko, że tynk jest jeszcze w planie. Jak się wczoraj wiater zerwał, to już chciałem tam po was ze stacji zawracać, bo chłoptal tylko był w samiuteńkim jednym spencerku, ale jakoś, chwała Bogu, ustało i burzy nie było.

Obejrzeliśmy cmentarz na Polskiej Górce z grobem Gizewiusza, niedawno zidentyfikowanym i doprowadzonym do porządku przez wolnych wreszcie ziomków pastora — patrioty. Kiedy z powrotem lokowaliśmy się w dorożce, przyszedł mi, nie wiedzieć czemu, na myśl spotkany wczoraj Niemiec, który nie umiał mówić po polsku. Ponieważ dryndziarz ustawicznie zapewniał, że wszystkich tutaj zna, spytałem go o dziwnego doktora.

— Nie, nie znam! — zdziwił się nasz nowy przyjaciel. — I to chyba nie może być? Po wiochach, nie można powiedzieć, są, moi złoci, tacy, co bez urazy szprechają po szwabsku, ale zawsze każden jeden swój katolicki polski język zna bardzo dobrze.

Opisałem zatem, jak tamten wyglądał, że był w czarnym ubraniu i ciemny na twarzy, cicho mówił i że spotkaliśmy go przy spalonym zborze, kiedy zaczęło właśnie wiać.

— A pan dyrechtor aby go krzyżem świętym przeżegnał? — spytał niespodzianie, i widząc moje zdziwienie, nie wolne też i od lekkiej irytacji, jako że nie lubię, by mnie traktowano niepoważnie, wysnuł z tego osobliwie prostoduszny wniosek: — Ee, widać nie, bo pan dyrechtor jest na pewno mocno legitymacyjny — dopiero teraz przymrużył po swojemu oko. — Chociaż i poniektórzy legitymacyjni także ponimają się żegnać i całkiem dokładnie nawet. Nie słuchaj, chłopalu! — mruknął nagle do syna i przechyliwszy się głęboko do tyłu (siedziałem na przedniej ławeczce) tak, że niemal przytknął mi swoje wąchy do ucha, zwierzył się szeptem: — U nas powiadają, że tu wedle spalonej kirchy straszy ten ichni szwabski diabeł. Smętek, czy jak mu tam. Tyle, że straszy teraz już nie tak silnie, bo prawie, że on jest kaput.

Skręcił w jakąś boczną ulicę: dwie chałupy na krzyż, szczere pole, trochę rozkopów i pozatykane żerdzie.

— To, moi złoci, jest ulica Dubois. Tutaj, o! — zatoczył batem nieźbyt zamaszyste półkole — budujem nową fabrykę mebli. A, o, na tym miejscu umyśliliśmy, że nadałaby się fabryka lakieru. Ale po mojemu... — uczynił w tym miejscu wyraźną pauzę oratorską — trzeba by wystawić fabrykę taką więcej znaczną, no nie? Niechby wyrabiała dla ludzi i jakie samochody, no nie?

Spojrzałem na naszego cicerone ze zrozumiałym zdumieniem. Czekałem, że po swojemu przymruży oko, lecz nie uczynił tego, tylko dodał dla ścisłości:

— Przecież nie tamte warszawy. Warszawy to są kozaki na benzynę i za granicą już takich nie wyrabiają. Ty, Urszula, nie pijasz benzyny, no nie? I co ty w ogóle pijasz? Zwykłą wodę, jak stara ropucha!

Zawróciliśmy ku handlowemu centrum. Do domu kolegi X nie było stąd zbyt daleko, więc żona zadecydowała, że najwyższy czas zwiedzić tutejsze sklepy. Ta dziedzina zwiedzania bardzo ją zawsze pasjonuje, moje dzieci również. Mnie, przyznam się, takie ekspozycje raczej nużą. Postanowiłem skorzystać z okazji i dać sobie urlop okolicznościowy. Chciałem jeszcze raz rzucić okiem na miejsce po rozebranym przez Niemców Polskim Domu Bożym — tym, w którym kazał Gizewiusz, a także staranniej obejrzeć ruiny niemieckiego zboru. Podziękowaliśmy zatem naszemu mistrzowi bata, który, okazało się, rzeczywiście nie chciał tym razem wziąć od nas pieniędzy, powołując się na swoje słowa, że dziś wozi nas honorowo.

Odjechał nieco do przodu i zatrzymał dryndę. Zdawało się, że troskliwie odprowadza oczyma całą moją trójkę, jakby czuł się odpowiedzialny za ich bezkolizyjne dotarcie do najbliższego sklepu z łachami. Kiedy zrównałem się z Urszulą, melancholijnie dumającą na pasemkiem trawy koło jezdni, odezwał się z wysokości kozła:

— Ja, panie dyrechtorze, tutaj każdego jednego znam, no, wedle tego, czy tamten jakiś starszy to spokojny jest Niemiec, czy tam Smętek, to sobie myślę i myślę, że my tego, jak mówią przyjaciele, bez wódki nie rozbierzem.

Z kamienną powagą wskazał mi ruchem głowy nie tak dalekie szklane drzwi i szyld nad nimi,

KONRAD FREJDLICH

Opowiadania z cieniem

Osiem niedużych opowiadań złożyło się na tę książeczkę, niby współczesną, a przecież pełną odwołań do przeszłości, ściślej, do jednego tylko, wojennego doświadczenia. A więc nawiązanie do tego, co Krzemiński już podejmował w swojej prozie typu dokumentalnego, w „Pięciu latach z hakiem". Lata 1939—1945, które autor spędził w hitlerowskich stalagach odcisnęły się nie tylko na osobistej, ale także na pisarskiej biografii.

Literatura obozowa w Polsce jest tak rozległa, że można mówić o lagrach jako o doświadczeniu pewnej generacji. Ukazywano hekatombę kacetów i mentalność człowieka „zlagrowanego", ukazywano ostateczne załamiania jednostki ludzkiej uginającej się pod ciężarem rzeczywistości, której człowiek nie może podołać i tryumfy człowieczeństwa nad zbrodniczą rzeczywistością, którą zgotował podbitej Europie hitlerowski faszyzm. Stosunkowo mniej zajmowano się sprawą spustoszeń moralnych, jakie ta wojna i zbrodnia uczyniła w ludzkiej psychice w ogóle. Stosunkowo mniej zajmowano się pamięcią o tamtych czasach. Krzemiński podejmuje próbę ukazania człowieka „zlagrowanego" po latach w opowiadaniu „Drugi brzeg", które ma gorzką wymowę moralną:

„— A tak — kończył Gawron. — Bo może to, rozumiesz... Czasami tak myślę, że to właśnie Władek dostał się na tamten brzeg, a ja wciąż jak wiatrak rękami... po wodzie... w ciszy takiej... z chmurami... z tym tobołkiem nad głową... rozumiecie?..."

Słowa te wymagają komentarza, który rozszyfruje ich metaforyczny sens. Gawron to uciekinier z obozu jenieckiego, któremu udało się zbiec i przepłynąć Ren, gdzie po stronie francuskiej otrzymał pomoc i przeżył wojnę. Władek jest współuciekinierem, któremu się nie powiodło, utonął w rzece na oczach kolegi, nie otrzymując od niego pomocy. Po latach okazuje się, że osiągnięcie drugiego brzegu było tylko doraźnym rozwiązaniem, że dawne, niby już rozstrzygnięte sprawy, teraz właśnie stają się wymagalne, domagają się ostatecznego rozwiązania.

Do tej problematyki nawiązuje opowiadanie tytułowe „Urlop z cieniem", którego bohater, Janusz Kruta, wracając do przeszłości mistyfikuje teraźniejszość, a z nią także przeszłość, do której się odwoływał. Bo przeszłość ta nie tyle jest niepoznawalna, ile trudna dla jednostki, toteż człowiek broni się przed nią całym instynktem samozachowawczym. A z drugiej strony pociąga go ona, kusi. Ta ambiwalencja zachowań znalazła u Krzemińskiego interesującą egzemplifikację. Jeszcze wyraźniej wypowiedział to w opowiadaniu „Waldemar" napisanym w konwencji cyklu listów powiązanych komentarzem, które kończy się ironicznym wyznaniem: „Cóż, nie poznamy już prawdziwego Waldemara".

Niekiedy jednak idzie Krzemiński jeszcze dalej, rysując rzeczywistość tak zaszyfrowaną, że niemal nieczytelną. („Szafa"). Dla czytelnika nie wtajemniczonego w sprawy bohaterów zrozumiałe są tylko niektóre aluzje dialogów.

Tym okupacyjnym splątaniom przeciwstawia Krzemiński uporządkowany świat urzędów, akt, kartotek i bilansów, świetny rysunek obyczajowy ludzi z zarękawkiem, którzy spoza papierów żywego świata nie widzą. Ale i ten pancerz okazuje się pozorny i ten ład okazuje się kruchy, narażony na wstrząsy. Opowiadanie „Znów źle zagrałem", dla której prototypem mogłaby być z powodzeniem Duerrenmattowska „Kraksa", ukazuje odarcie jednostki z jej złudzeń, farsa staje się rzeczywistością, a dramat ma swoje korzenie w przeszłości.

Włodzimierz Krzemiński: „Urlop z cieniem", Wydawnictwo Łódzkie 1972, str. 170, cena zł 11,—

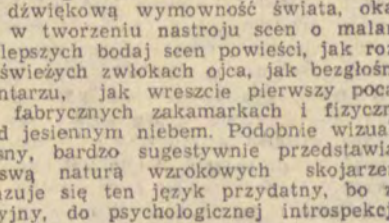

JERZY KWIECIŃSKI

Którędy do gwiazd?

Roztropnie postąpili ci recenzenci pierwszej książki Ryszarda Binkowskiego, którzy obwarowali swoje na ogół bardzo pochwalne opinie pewnym istotnym zastrzeżeniem. Było to nie tylko odpowiedzialne, ale i wielce życzliwe dla utalentowanego autora. Kto omawia jego książkę — drugi już teraz tom prozy, ukazujący się w krótkim czasie *), tym więcej powinien chyba okazać życzliwej troski temu nietuzinkowemu zjawisku na polu naszej młodszej prozy. Dla zachowania wszakże należnej proporcji zacznę też od pochwał.

Wypowiadając swoje zdanie o nowej książce Binkowskiego nie mogę się oprzeć pokusie podkreślenia, że za najważniejszy jej walor uważam, iż odpowiada ona podstawowym kwalifikacjom literackim. Mianowicie nie pozostawia żadnych wątpliwości wobec faktu swojej przynależności do literatury pięknej. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to trochę niestosownie w odniesieniu do utworu powieściowego, a jednak trzeba to koniecznie powiedzieć, aby wyodrębnić Binkowskiego z całej pléjady, zwłaszcza młodszych autorów, snujących swoje opowieści tokiem zgrzebnie - informacyjnym, jakby nawet nie przeczuwali artystycznej funkcji literackiego słowa. Binkowski dostarcza swoimi książkami żywego argumentu wszystkim, co się upierają przy tym, iż język jest jednym z koniecznych elementów, decydujących o pokrewieństwie literatury z wielką rodziną sztuk. Ale chwaląc, przemycę tu od razu komentarz wyjaśniający, że mówiąc o artyzmie języka Binkowskiego mam na myśli nie tyle ilościowe nasilenie zjawiska, a więc nie jego „wybitność", lecz raczej „czystość", czyli literackie poczucie konieczności użytego słowa. Przemycę też uwagę drugą, że — jak to już zauważono — nie jest to język właściwy prozie, co oznacza dość istotną słabość, w powieściowym zastosowaniu, o czym jednak — później.

Książka Binkowskiego jest opowieścią o młodym chłopcu na progu życiowej i męskiej dojrzałości, rozbudzonej dość wcześnie i brutalnie na skutek osierocenia i konieczności przedzierania się przez życie o własnych siłach. Wrażliwy, ale i twardy w uporze, syn podmiejskiej wsi prze wytrwale do nauki, kierując się nie tyle pragnieniem „wygryzienia się", ile bezinteresowną ciekawością świata i głodem wiedzy. Nie może też sprawić zawodu ludziom pokładającym w nim nadzieję. Autor opowiada się całkowicie za skromną prawdą życiową cichego człowieka o ufnym sercu, nie pragnącego dla siebie wiele więcej, niż tylko wzajemne uczucie. Przez liryzm i gorącą temperaturę emocjonalną, książka Binkowskiego zyskuje własny ton i potrafi wzruszyć.

Do wciągnięcia czytelnika w perypetie bohatera przyczynia się w znacznym stopniu zindywidualizowanie głównych postaci, a zwłaszcza obu braci — głównego bohatera książki, zmierzającego „przez ciernie do gwiazd", czyli właśnie „ponad sadem" i jego brata, bardzo przyziemnie kroczącego przeciwieństwa Franka, przedstawionego jednak po ludzku, bez przebarwienia czernią. Dialogi prowadzi autor żywo i naturalnie, ale szkoda, że — zapewne dla zachowania środowiskowego kolorytu — za gęsto szpikuje swój poetycki język miejskim żargonem, a już bez opamiętania cytuje dowcipy, które nie zalecają się świeżością.

Ta naturalistyczna ciągota do — jak mi się wydaje — przenoszenia żywcem rzeczy niegdyś zasłyszanych wzięła się, być może, z chęci zrównoważenia poetyckości języka, której nadmiar autorowi już wcześniej zarzucano. Trzeba jednak zauważyć, że poetycka i zmysłowa proza Binkowskiego, wrażliwa bardziej na barwę i światło niż na dźwiękową wymowność świata, okazuje się bezcenna w tworzeniu nastroju scen o malarskim sztafażu, najlepszych bodaj scen powieści, jak rozmowa braci przy świeżych zwłokach ojca, jak bezgłośna modlitwa na cmentarzu, jak wreszcie pierwszy pocałunek z Anką w fabrycznych zakamarkach i fizyczne z nią zbliżenie pod jesiennym niebem. Podobnie wizualny walor mają sny, bardzo sugestywnie przedstawiane, zgodnie ze swą naturą wzrokowych skojarzeń. Mniej jednak okazuje się ten język przydatny, bo za mało jest precyzyjny, do psychologicznej introspekcji, do intelektualnej refleksji.

Ciekawe, że ten jakby pamiętnik liryczny ma chwilami wyraźnie epicki zakrój. Uwidacznia się to w niespiesznym rytmie narracji, w upodobaniu autora do kontemplacji prawidłowości przyrodniczych cyklów, w uleganiu urokom biologicznego przemijania. Nie zdziwiłbym się, gdyby ten kierunek dalszego literackiego rozwoju, wymagający raczej umiejętności obrazowania i posługiwania się szeroką paletą zmysłowych doznań, niż prowadzenia dyskursu o węzłowych problemach czasu, gdyby właśnie tego rodzaju twórczość uznał Binkowski za swoją domenę, jeśli nie mylę się, że w jego pisarstwie wyczytać można więcej pogodnej zgody na życie, jakim ono jest, niż poczucia własnego niedopasowania do jego ostrych kantów i potrzeby intelektualnej analizy jego szwankujących mechanizmów.

Ale nie martwmy się na zapas, bo czyż cechą talentu nie jest i to, że sam znajduje najwłaściwszą dla siebie drogę?

*) **Ryszard Binkowski „Pójdziesz ponad sadem", Wydawnictwo Łódzkie 1972, str. 162, cena 11 zł.**

Przeszłość i teraźniejszość

Zanim przyszedł Hitler

Zalecając polskim czytelnikom pracę niemieckiej pary autorskiej, złożonej z prawnika i historyka — Heinricha i Elisabeth Hannover'ów (Zanim przyszedł Hitler. Sądy i polityka w Republice Weimarskiej, Iskry, 1972) — znalazł się Franciszek Ryszka w nie lada kłopocie. Z jednej bowiem strony mamy tu do czynienia z książką o treściach niewątpliwie ważnych dla historycznej samowiedzy wszystkich zainteresowanych problematyką, która streszcza się w pytaniu: jak doszło do tego, że w jednym z najbardziej cywilizowanych krajów naszego globu mógł zrodzić się system, który był zaprzeczeniem ludzkiej cywilizacji — hitleryzm. Książka Hannover'ów dotyczy wymiaru sprawiedliwości w Niemczech w okresie Republiki Weimarskiej, operuje ogromnym, niezmiernie wymownym materiałem, rzetelnie informuje i wyjaśnia. Obnaża polityczne skutki zachowania przez młodą republikę niemiecką kaiserowskiej kadry aparatu sprawiedliwości o określonej mieszczańskiej formacji społecznej o zdeklarowanie nacjonalistycznym, konserwatywnym światopoglądzie. Ukazuje w działaniu ową tak znamienną „ciągłość i trwałość antydemokratycznego sposobu myślenia pod powierzchnią pozornie demokratycznych form, tak charakterystycznych dla pierwszej republiki".

Że nie chodziło tutaj tylko o myślenie, ale o znacznie więcej, świadczy podane przez autorów, za pracą E. J. Gumbala „Od morderstw kapturowych do Kancelarii Rzeszy", przerażające zestawienie. W okresie Republiki Weimarskiej na 376 dokonanych wówczas morderstw politycznych aż 354 było dziełem różnych kręgów nacjonalistycznej prawicy. Spośród nich pozostało bezkarnymi... 326, 27 doczekało się jedynie częściowej kary, zaś ukarane w pełni zostało tylko jedno morderstwo. Jak się to mogło dziać — o tym właśnie informuje książka Hannover'ów.

Autorzy adresowali ją przede wszystkim do niemieckich czytelników średniego pokolenia, tych, którzy tamte czasy „przeżywali nieświadomie". „Przedstawiany obecnie obraz historii ostatniego pięćdziesięciolecia — piszą Mannover'owie o obiegowym zach.-niemieckim piśmiennictwie historycznym — stworzony został przez współwinnych. Dlatego obecne młode pokolenie powinno starać się o to, aby następna generacja poznała całą prawdę". Polski czytelnik wolny jest chyba od tego rodzaju problemów, chociaż ma inne, swoje własne; w każdym razie nie ma on ani złudzeń, ani w swojej większości — wiedzy o niemieckim sądownictwie w okresie poprzedzającym dojście Hitlera do władzy. I dlatego na pewno ma rację F. Ryszka, gdy powiada o prezentowanej pracy, że „rozwija ona i dokumentuje wątki znane nam tylko w najogólniejszy sposób, a zarazem rozbija wyobrażenia, które pokutują w tradycji prawniczej, wciąż zaś kolportowane są przez literaturę prawniczą w NRF". Jest to bowiem na pewno książka głęboko zaangażowana przeciwko reakcji i faszyzmowi. Jest bezkompromisowo demaskatorska względem osób, instytucji i ich działań — rzekomo bezstronnych i służących apolitycznej „justycji".

Z drugiej jednak strony, chociaż książka niemieckich autorów jest cenna i ważna, nie sposób nie dostrzec, że nie należy ona do szczytów europejskiej historiografii. Zresztą autor polskiej przedmowy bynajmniej tego nie sugeruje. Daleko bowiem jej do szerokości spojrzenia takiego np. George L. Mosse'a, autora niedawno przełożonej na język polski (1972) znakomitej rozprawy „Kryzys ideologii niemieckiej", czy precyzji krytycznych rozważań Georga G. Iggersa, zawartych w nieudostępnionej dotąd polskim czytelnikom głośnej książki o niemieckiej myśli historycznej, która w swej rozszerzonej, opublikowanej w NRF (1971) wersji objęła także okres hitlerowski. Czytelnika, który wymaga od historii czegoś więcej, jak tylko kolekcjonowania choćby najważniejszych faktów, drażni brak szerszego oddechu, zdarzające się raz po raz prymitywne ogólne sformułowania, pewne wyizolowanie dziejów sądownictwa z całokształtu dziejowego dramatu Niemiec po ich klęsce w I Wojnie Światowej. To prawda, że książka Hannover'ów jest — jak powiada F. Ryszka — „utworem zdecydowanie ambitniejszym, niż mógłby być „pitaval" — przegląd skandali sądowo - politycznych tamtych czasów". Ale brakuje jej na pewno wiele, kto wie, czy nie więcej jeszcze, niż to wskazano w przedmowie do polskiego przekładu. Tym niemniej uzasadnia ona konkluzję: „Reichswehra, administracja cywilna i wymiar sprawiedliwości stanowiły trzy filary kontrrewolucji". Tyle, że twierdzenie to, choć słuszne, nie jest już dla nas nowe.

JÓZEF GRZELAK

ANDRZEJ GRUN

PAJĄK

Kilkakrotnie pisałem o malarstwie Ireneusza Olszewskiego z okazji jego wystaw, lecz, jak się naocznie przekonałem, pisałem bez pojęcia, bez sensu i rozsądku. Wydawało mi się, że opisuję to co widzę i wiem. I z tego co widzę i wiem wyciągam wnioski. I tkwiłbym, bez wątpienia nadal w swym błędzie, w niechlubnej nieświadomości szerząc o Olszewskim sądy mylne i krzywdzące, gdyby nie los dla mnie łaskawy, co zesłał mi katalog dokumentujący jego wystawę w Powiatowym Domu Kultury w Łasku, która to wystawa zorganizowana została z okazji 550-lecia nadania grodowi praw miejskich. W tymże katalogu przeczytałem wstęp Antoniego Szrama, który otworzył mi oczy ukazując sylwetkę i twórczość Olszewskiego w innym zupełnie świetle i wymiarze. Wstęp ten napisany piękną polszczyzną, językiem giętkim, wykładającym łacno wszystko co zdąży pomyśleć głowa, klarowny w swej konstrukcji jak kryniczna woda, przyczyni się niewątpliwie do popularyzacji malarstwa Ireneusza Olszewskiego wśród najszerszych rzesz odbiorców, nie wspominając już o tym, że wyprowadzi z manowców niepojmowania prostaczków-profanów mnie podobnych, którzy mieli odwagę w słowie drukowanym utrwalać widome dowody swojej ignorancji.

Na samym wstępie A. Sz. informuje nas (aby nie było cienia wątpliwości) iż **„Nieznany Geniusz raz okrył szatą biodra Wenus z Milo i w ciągu blisko trzech tysiącleci po nim, twórcy pomniejsi karmili się jego pomysłem, przetrawiając go na swój sposób. Działalność tych i innych nowatorów pobudza środowisko. Zastępy Kontynuatorów i epigonów ujawniły swoje zadziwienie wobec świata na wzór wielkich artystów."** I natychmiast zadaje pytanie **„Co to jest sztuka?"** Otóż przyznać się muszę, że zadziwienie stało się również moim udziałem, zaś wszyscy pomniejsi Geniusze, którzy dziś, po trzech tysiącleciach wciąż okrywają (w sztuce oczywiście) biodra różnych Wenus z różnych miejscowości na świecie, pobudzają mnie jako cząstkę środowiska (a także jako jednostkę autonomiczną) niepomiernie i dogłębnie. Niestety, w tym kontekście odpowiedzieć na pytanie „Co to jest sztuka?" nie jestem w stanie, tym bardziej, że jak się domyślam A. Sz. nie chodzi tu o odpowiedź w rodzaju; to nie sztuka zabić kruka, ale sztuka całkiem świeża... itd. I tu mam pierwszy żal do A. Sz., że sam nie daje odpowiedzi na to, fundamentalne wszak pytanie, wykręcając się produktami rolnymi czyli sianem przyznając jeno łaskawie, iż pytania bywają czasami przydatne. **„Bez pytań świat rzeczy byłby niezrozumiały. Pytania są potrzebne, pożyteczne — dobrze uprawiany ogródek przy domu istotnie może przynieść niekiedy zyski wyższe od osiąganych przy użytkowaniu gruntu pod uprawę żyta.(...) Pytania są pożyteczne, póki każdorazowo odpowiedzieć można rozumowaniem, ręką, bądź pomocniczymi sposobami (na przykład różnymi miernikami lub instrumentami naukowymi) — póki można sprawdzić** (wyjątkowo fascynujące dla mnie jest sprawdzanie rękoma pewnych pytań — A. G.) **Jak oceniamy sztukę? Rzadka okazja powiedzenia otwarcie, co się naprawdę myśli — krytycy plastyczni na wystawach o zdanie artysty nie pytają".**

Na to drugie pytanie też próżno szukam odpowiedzi, lecz korzystając z owej rzadkiej okazji stwierdzić muszę, iż ci krytycy nie pytają również o zdanie czytelników.

Na pohybel im! I dobrze przynajmniej, że przy okazji wystawy Olszewskiego A. Sz. rozprawia się z logikami, sofistami i takimi innymi!

Po rozważaniach teoretycznych A. Sz. przechodzi do omówienia działalności artystycznej i analizy twórczości I. Olszewskiego stwierdzając, iż **„prowadzi on życie pełne, aktywne, ruchliwe"** i że ma w swoim życiorysie **„inicjatywę kulturotwórczą"** oraz **„wystawy rozrachunkowe realizowane w sytuacji, kiedy rejestrujemy sztukę konceptualną".** I trzeba się w pełni zgodzić z autorem, że **„ta sytuacja sprzyja powstawaniu pozornych i mylnych systemów wartości".** Zwłaszcza, gdy **„Główny dzwon sztuki konceptualnej podważa wyjątkowy, „świąteczny" status dzieła. Podważa i naszą przyjaźń".** I to jest straszne, bo pies trącał świąteczny status sztuki, ale przyjaźń, przyjaźń! Przyjaźni nie znajduje się przecież na ulicy.

Nie zdziwi zapewne nikogo, że w takiej sytuacji **„Rozgoryczony i zbuntowany, wielokrotnie zawiedziony poszukujący jednak za wszelką cenę pozytywności — w imię czystej prawdy Olszewski poświęca się po części życiu osobistemu — maluje obrazy olejno".** I bardzo dobrze się stało, że A. Sz. wyjaśnia, a nie ulega dla mnie wątpliwości, że dzieje się to po wnikliwej i wszechstronnej analizie obrazów olejnych Olszewskiego, iż **„jest to atak na język, który przekształca i na własną rękę tworzy", i że w przeciwieństwie do innych twórców, jakże licznych, niestety, w naszej sztuce współczesnej. „Dla niego** (to jest Olszewskiego — A. G.) **nie jest to przedmiot narzekań, lecz punkt wyjścia do ostrej ofensywy malarskiej".**

Głębia ujęcia tematu przez autora wstępu musi poruszyć każdego. Relewacyjne w swej prostocie, a zarazem jakże odkrywcze stwierdzenie, że **„w konkretnych ujęciach Olszewskiego malarstwo jest sprawą malarzy, tak jak sprawą malarzy jest znak, który każdy z nich na własną rękę rozbija i na własną rękę tworzy"** rzuca na twórczość Olszewskiego nowy snop światła. Artysta ten, który znak na własną rękę rozbija i znak na własną rękę tworzy, tradycję **„zawęża do malarstwa sztalugowego: a mianowicie — malarstwa olejnego lub olejnego zbliżonego".** Postępując według takiego programu artystycznego Olszewski **„Nie dostrzega możliwości integracji w rzeczywistość sztuką konceptualną",** przeciwnie, **„ocenia ją bardzo negatywnie".**

Nie można się więc dziwić A. Sz., gdy pisze bez żadnej krępacji: **„Otaczam go kultem za odwagę przekonań — sztuka Ireneusza Olszewskiego sama nie jest pozbawiona pewnych sprzeczności — rozpinając jego dzieła na określonych antynomiach świadomości (samowiedzy), stawia sobie Ireneusz zupełnie inny cel aniżeli ukazywanie wartości dekoracyjnych obrazu sztalugowego. Jego interesuje — myśl. Nie załatwia kilku spraw na raz".**

Mnie również interesuje myśl! I nie pochwalam postawy trzymania pięciu srok za ogon, tak częstej zresztą wśród artystów doby dzisiejszej i dlatego gotów jestem otoczyć kultem również samego autora omawianego wstępu, z którego cytaty pozwoliłem sobie przytoczyć.

By jednak do końca, do dna samego pojąć istotę sztuki Olszewskiego raz jeszcze zmuszony jestem sięgnąć po cytat. A. Sz., pisze o niej, dając niezbite dowody, iż patrzy na nią z lotu ptaka, że ogarnia ją całą, bez reszty, **„swoisty minimalizm tematyczny — (pejzaż) przypomina nam o ontologicznym wymiarze malarstwa olejnego — jest cenną cnotą syntetyka. Pająk „lepi instynktownie misterną sieć, Ireneusz również „lepi" swój obraz życia. Może uda mu się mnie nawrócić".**

To wzruszające. Olszewski maluje obrazy olejne (poświęcając się po części życiu osobistemu) w oparciu o najlepsze tradycje naszej sztuki. Bo przecież historia naszego malarstwa posiada w swych szkatułach wielu wybitnych minimalistów. Minimalistą był Matejko, uparcie malujący sceny historyczne. Wielkim minimalistą był Stanisławski, malujący tylko pejzaże i to bardzo małe. Zdublowanym minimalistą był Fałat, bo i akwarelą się trzymał kurczowo i wciąż te polowania i polowania. Także Boznańska ogromna minimalistka. I wielu, wielu innych. Obrazy Olszewskiego nawiązują więc (w interpretacji A. Sz.) — do mistrzów dawnych, choć przecież on sam własną ręką rozbija znak i znak własną ręką tworzy odważnie, nie dostrzegając żadnej możliwości integracji w rzeczywistość sztuką konceptualną.

P. S. Może Olszewski nawróci Antoniego Szrama, ale Antoni Szram nie nawróci mnie na drogę bełkotu i bezmyślnego braku odpowiedzialności za słowo drukowane.

A. G.

POLONICA

OSTATNIE NUMERY „AUSTRIA — POLSKA"

Prawie równocześnie ukazały się dwa numery organu Towarzystwa Austriacko-Polskiego „Oesterreich-Polen". Numer pierwszy przynosi obok artykułów z zakresu polityki i gospodarki także kilka materiałów literackich, a mianowicie wybór fraszek Tadeusza Fangrata (z krótką notą biograficzną), recenzję z premierowej projekcji filmu „Pan Wołodyjowski" w wiedeńskim Forum-Kino oraz bogatą kronikę kulturalną.

Drugi natomiast numer ukazał się w języku polskim w związku z Targami w Poznaniu. Ale i on zawiera sporo materiałów kulturalnych. Warto też zaznaczyć, że po raz pierwszy ten periodyk wiedeński trafił do sprzedaży w Międzynarodowych Klubach Prasy i Książki.

(er)

„JOURNAL DE GENEVE" O POLSKIM TEATRZE

W szwajcarskim dzienniku „Journal de Geneve" ukazały się dwa artykuły Francois Truana, poświęcone polskim sprawom teatralnym. Pierwszy dotyczy wielkiej wystawy, urządzonej przez dyrektora Muzeum Etnograficznego w Neuchatel, prof. Jean Gabusa na temat: „Pologne, Theatre et Societe". Wystawa ta będzie czynna sześć miesięcy, aż do grudnia 1972 r. Autor artykułu cytuje słowa prof. Gabusa (który kieruje także i Instytutem Etnografii Uniwersytetu w Neuchatel). W październiku 1964, znalazłszy się w Warszawie, stwierdził on, że w Polsce teatr jest zjawiskiem autentycznie ludowym, jak kolarstwo, czy piłka nożna. Dlatego spróbował zerwać z „klasyczną" formułą wystaw, przedstawiających dzieje teatru. Chciał natomiast uzmysłowić rolę tego zjawiska w polskiej przeszłości i teraźniejszości.

W drugim artykule omawia Francois Truan zbiór sztuk Mariana Pankowskiego, ogłoszony przez Wydawnictwo „Editions du Cite — l'Age d'Home", w serii „Teatr żywy". Cztery sztuki składają się na tom poświęcony Pankowskiemu, m. in. „Król Ludwik", na temat przyjaźni Ludwika Bawarskiego i Wagnera. Inna sztuka pt. „Une halte dans la nuit" jest utworem, napisanym dla teatru lalek, w stylu krakowskiej szopki. Trzeci utwór, to „teatr w teatrze": więźniowie hitlerowskiego obozu koncentracyjnego opowiadają i rozgrywają wydarzenia, które poprzedziły ich aresztowanie.

„Król Ludwik" jest już przewidziany w repertuarze genewskiego Nouveau Theatre de Poche. „Ślub" Gombrowicza ukaże się w Zurichu (jak podało „Słowo Powszechne").

W. N.

POLONICA

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Polski Edison

Dziwny to był człowiek ten młodziutki nauczyciel fizyki. Niezwykle utalentowany, pracowity, pogodny, lekcje prowadził jasno, interesująco. Doskonały pedagog. Ale dziwny bardzo. Nie raz wykład przerwał, jakby uderzony jakąś myślą, siadał przy stoliku, pisał coś w brulionie, kreślił plany, rozwiązywał wzory, odejmował i dodawał. Ale przy tym uczył świetnie i programu nie opóźniał. Lubił swoich uczniów, chodził z nimi na wycieczki, opowiadał im o świecie, o maszynach latających, budził zainteresowanie do nauki.

Miał zaledwie lat dwadzieścia trzy. Był rok 1894.

2.

Pochodził ze wsi Rudniki niedaleko Krosna, urodził się 13 czerwca 1872 roku. Szkołę powszechną skończył bez trudu, gimnazjum z potknięciem — miał kłopoty z greką. I z nauczycielem przyrody, który nie mógł mu wybaczyć, że zadania z fizyki rozwiązywał szybciej od niego. Seminarium nauczycielskie skończył w Krakowie i widzieliśmy go właśnie w szkole wiejskiej w Korczynie, koło Krosna.

Szerokie zainteresowania nauczyciela Jana Szczepanika wybiegają daleko poza mury wiejskiej szkoły, więc uwalnia się od pracy pedagoga i wyjeżdża do Krakowa. Otrzymuje pracę w „Magazynie aparatów fotograficznych" Ludwika Kleinberga, finansisty i swego późniejszego wspólnika patentowego. 24-letni pracownik „Magazynu" jest pochłonięty wizją odkryć w dziedzinie techniki i prowadzi nieustanne doświadczenia w bardzo skromnych warunkach mieszkaniowych. Wydaje na nie każdy zarobiony grosz. Ten trudny okres jest decydującym momentem w życiu genialnego wynalazcy.

3.

W tej mocno okrojonej nocie biograficznej Jana Szczepanika, z młodzieńczego okresu jego życia, uderza fakt niepomiernie interesujący: późniejszy wynalazca i autor wielu oryginalnych opracowań z przeróżnych dziedzin techniki nie miał wykształcenia politechnicznego. Był genialnym samoukiem, opanował gruntownie: matematykę, fizykę, chemię, mechanikę. Orientował się znakomicie w bieżącym stanie zdobyczy nauki. Do dziś zdumiewają jego wizje rozwoju techniki i naukowe opracowania w zakresie filmu dźwiękowego, fotografii barwnej, filmu kolorowego, telewizji, telefotografii, optyki, a nawet automatyki. Ba, absorbuje go także idea konstrukcji śmigłowca i budowy silników. W pracach Szczepanika — samouka wzbudza podziw samodzielnie wypracowana, naukowa metoda analizy zagadnień, nad którymi pracował.

Opatentował ponad sto wynalazków, a zgłosiłby co najmniej drugie tyle, gdyby miał na to środki.

Historyk fotografii, J. M. Eder, w swej znakomitej pracy „Geschichte der Photographie", wydanej w 1932 roku w Halle, nazywa Jana Szczepanika „jednym z największych wynalazców spośród Polaków".

Nie masz proroków we własnym kraju. Święte słowa.

4.

Jedyna w Polsce, obszerna monografia o Janie Szczepaniku, pióra prof. dr Władysława Jewsiewickiego „Jan Szczepanik — Wielki wynalazca", czekała na ukazanie się w druku wiele lat. W 1961 roku dotarła wreszcie do witryn księgarskich, w edycji Państwowych Wydawnictw Technicznych, i zniknęła natychmiast. Wznowień nie było, a minęło od tego czasu lat jedenaście.

Okazało się wszakże, że monografia profesora Jewsiewickiego była bardzo potrzebna. Dała impuls kilku pożytecznym inicjatywom społecznym, także w Łodzi, pobudziła prasę i telewizję do spopularyzowania dziejów życia i twórczej pracy tego wielkiego polskiego wynalazcy. I tak, na przykład, 25 marca 1970 roku telewizja, w cyklu „Wielcy znani i nieznani", poświęciła Szczepanikowi specjalny program zatytułowany: „Polski Edison". Wznowiła ten program 13 czerwca br. w setną rocznicę jego urodzin. 14 czerwca tego roku „Trybuna Ludu" zamieściła sprawozdanie z obchodów tej rocznicy w Krośnie i Tarnowie. Także w tym roku, w edycji Interpressu, w serii „Wielcy Polacy", ukaże się popularne wydanie monografii profesora Jewsiewickiego pod niezmienionym tytułem. Przewiduje się przekład tej książki na kilka języków.

Pamięć o Janie Szczepaniku pięknie uczciła Łódź. W 1966 roku, na wniosek rady pedagogicznej i uczniów Technikum Łączności nr 7 w Łodzi, szkole nadano imię Jana Szczepanika. Przy Technikum powstało muzeum, w którym gromadzi się eksponaty, dotyczące jego pracy i wynalazków. Pierwszy dar złożył niestrudzony popularyzator wynalazcy — Profesor Jewsiewicki. W latach 1970—72, Technikum zorganizowało szereg imprez, związanych ze stuleciem urodzin Jana Szczepanika, zakończonych uroczystym obchodem tej rocznicy, 13 czerwca bieżącego roku.

Uroczystości rocznicowe odbyły się także w Krośnie, na rodzinnej ziemi Szczepanika, zorganizowane staraniem Towarzystwa Ziemi Tarnowskiej. Podobne odbyły się w Tarnowie. Oto bogaty plon jednej monografii, która ukazała się jedenaście lat temu...

5.

— Gromadząc przez długie lata materiał do tej książki — mówi Profesor Jewsiewicki — dowiedziałem się od mego korespondenta z Chicago, inżyniera Franciszka Ożgi, zresztą wielbiciela talentów Jana Szczepanika, że Mark Twain był zafascynowany naszym wielkim wynalazcą i że poświęcił mu aż dwa opowiadania. Ale gdzie i kiedy je opublikował; tego Ożga nie wiedział. Boże drogi, gdzie ja ich nie szukałem. Bez skutku! Traf chciał, że będąc w 1950 roku w Moskwie, w rozmowie z mymi radzieckimi kolegami, jakoś mimochodem

Z woleja

ŁODZIANIE NA OLIMPIADZIE

„Sam udział w Igrzyskach Olimpijskich jest największym zaszczytem" — to słynne powiedzenie twórcy nowożytnych olimpiad, francuskiego barona Pierre de Coubertin, stało się naczelną dewizą współczesnego ruchu sportowego. Czteroletni okres dzielący kolejne Igrzyska wypełniają przygotowania sportowców całego świata, którym przyświeca jeden cel — udział w największej międzynarodowej imprezie, jaką są Olimpiady. Z wielu milionów śniących o olimpijskich laurach, w bezpośrednim boju mogą spotkać się tylko najlepsi z najlepszych. W Monachium będzie ich 15 tysięcy, a wśród nich 300 sportowców z białym orłem na piersi.

W dotychczas rozegranych letnich Igrzyskach wzięło w sumie udział 760 Polaków (116 kobiet i 644 mężczyzn), którzy uczestniczyli w rozgrywkach 19 dyscyplin. Zdobyli oni w sumie 96 medali, uczestniczyli w 223 finałach. Największy dorobek mają tu lekkoatleci, którzy zdobyli 26 medali (9 złotych, 9 srebrnych i 8 brązowych), a tuż za nimi bokserzy — 24 medale (6 złotych, 7 srebrnych, 11 brązowych).

Pierwszy medal dla Polski zdobyli kolarze na Olimpiadzie w Paryżu w 1924 r. Czwórka naszych torowców w składzie: F. Szymczyk, J. Łazarski, J. Lange, T. Stankiewicz — zajęła w wyścigu na 4 km drugie miejsce i tym samym srebrny medal. Cztery lata później udziałem Polaków stało się największe trofeum — złoty medal. Złoty rzut dyskobolki Haliny Konopackiej, pozwolił urzeczywistnić marzenia milionów polskich kibiców. Był to rok 1928. Później nastała era zwycięstw Kusocińskiego, polski sport święcił na świecie coraz większe triumfy.

Powojenną polską historię olimpijską rozpoczęli bokserzy. Jako pierwszy wpisał się na listę medalistów A. Antkiewicz, który w 1948 r. w Londynie, w wadze piórkowej wywalczył trzecie miejsce. Za cztery lata, w Helsinkach, oklaskiwaliśmy sportowca, który jako pierwszy po wojnie zdobył złoty medal dla naszych barw narodowych. Był nim również bokser, Zygmunt Chychła, zwycięzca w wadze półśredniej. Dalej sportowcy polscy poczynali sobie coraz śmielej i aktualnie znajdujemy się w ścisłej czołówce najsilniejszych sportowo krajów świata.

Chlubną kartę w olimpijskiej historii Polski mają również łodzianie. Pierwszym olimpijczykiem z naszego miasta był Tomasz Konarzewski, bokser, który brał udział w Igrzyskach Olimpijskich w 1924 r. w Paryżu. Natomiast pierwszym medalistą, a raczej pierwszą medalistką została łodzianka w 1932 r. Na Olimpiadzie w Los Angeles Jadwiga Wajsówna zajęła trzecie miejsce w rzucie dyskiem, a w cztery lata później, w Berlinie, wywalczyła „srebro". Cieszyliśmy się również z sukcesów oszczepniczki Marii Kwaśniewskiej, brązowej medalistki z Berlina, a po wojnie na listę medalistów wpisał się jeszcze jeden łodzianin, Adam Smelczyński, który w 1956 roku „wystrzelał" w Melbourne srebrny medal.

Dziwna to sprawa, ale mimo, że sport łódzki przeżywa wyraźny regres, na Olimpiadę do Monachium wyjedzie (jak dotychczas wiadomo) czternastu zawodników (sami mężczyźni), a w chwili gdy piszę te słowa ważą sie jeszcze losy Stępnia, oraz jednego z dwóch zapaśników: Wasiaka i Wypiorczyka. Tak się bowiem nieszczęśliwie złożyło, ze obaj ci zawodnicy łódzkich Budowlanych walczą w jednej wadze, na Igrzyska może jechać tylko jeden, więc ponieważ obydwaj reprezentują mniej więcej wyrównaną klasę, walczą zacięcie o wyjazd.

Kto będzie reprezentował nasze miasto w Monachium? Tradycyjnie najwięcej kolarzy w naszej ekipie stanowią łodzianie. Chodzi tu, oczywiście, o torowców, gdyż z szosowcami jest w Łodzi bardzo krucho. Tak więc, w ekipie olimpijskiej znaleźli się: Kaczorowski, Bek, Nowicki, Głowacki. Rezerwowym jest sprinter Kotliński, którego start w Monachium stoi jeszcze pod znakiem zapytania. Drugie miejsce pod względem ilości zawodników w ekipie olimpijskiej zajmują szczypiorniści. Są to trzej zawodnicy Anilany: Kuchta, Szymczak i Wachowicz. Trzech będzie również zapaśników: zgierzanin Cieślak, Kurczewski i Wasiak lub Wypiorczyk. Trzech jest lekkoatletów: sprinterzy Wagner i Czerbniak oraz przeszkodowiec Maranda. Po jednym przedstawicielu mają boks i hokej na trawie. Kto wie, może piorunujące uderzenie Reszpondka wywalczy mu w Monachium medal. Laskarz Iskrzyński uzupełnia ekipę łódzkich olimpijczyków.

Ważny jest udział, ale my mamy apetyty większe — chcielibyśmy, aby łodzianie nie przyjeżdżali z Monachium z pustymi rękami. Moim zdaniem, największe szanse na medal ma Kurczewski, wicemistrz świata, trzeci na mistrzostwach Europy w Katowicach. Dysponuje on wspaniałymi warunkami fizycznymi, a ponieważ ostatnio poprawił technikę, może pokusić się o najwyższą lokatę. Wspomnieliśmy już o silnie bijącym Reszpondku, a jak wiadomo, w długim i męczącym turnieju olimpijskim ten typ boksera ma największe szanse. Medalowe apetyty mają również szczypiorniści, ale na 16 finalistów, 12 reprezentuje mniej więcej ten sam poziom, jeżeli więc Polacy będą mieli formę w Monachium, mogą nie wrócić z pustymi rękami.

Teraz z niecierpliwością oczekujemy otwarcia XX Igrzysk Olimpijskich w Monachium i przez blisko trzy tygodnie emocje olimpijskie trzymać nas będą w napięciu.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

HENRYK SZUBERT

Lekarz królów

Ziemia łódzka wydała wiele wybitnych postaci, które odegrały ważną rolę w dziejach nauki polskiej. Jedną z nich był Adam z Bochenia (miejscowość podłowicka), inaczej nazywany Adamem z Łowicza, lub Adamem Polakiem — lekarz, filozof, i humanista, działający na przełomie XV i XVI wieku, w początkowym okresie rozwoju polskiej nauki renesansowej. W tym czasie, w związku z rosnącym zrozumieniem potrzeb człowieka, wymogów higieny i zdrowotności oraz konieczności zwalczania epidemii rozwinęła się medycyna. Powoli zrywała ona z przesądami, a zwracała się do obserwacji i wiedzy o człowieku i przyrodzie. Zainteresowanie medycyną było wówczas ogromne. Każdy wybitniejszy humanista był też lekarzem, jak np. Jan z Ludziska czy Mikołaj Kopernik. Do nich należał także i Adam z Bochenia.

Po ukończeniu szkoły łowickiej rozpoczął studia na Uniwersytecie Krakowskim (do albumu studentów został wpisany w roku 1486). Wkrótce osiągnął stopnie naukowe — w roku 1488 został bakałarzem (najniższy stopień naukowy), a w roku 1492 — magistrem nauk wyzwolonych, czyli siedmiu nauk świeckich: gramatyki, retoryki, dialektyki, matematyki, geometrii, astronomii i muzyki. Jako bakałarz sporządził w roku 1489 ciekawy traktat przyrodniczo-lekarski.

Ukończywszy studia filozoficzne wykładał przez dwa lata (1492—1493) jako docent na wydziale filozoficznym. Następnie, prawdopodobnie, pracował w kancelarii królewskiej w charakterze pisarza. Pozyskawszy łaskę króla otrzymał, wraz z niejakim Janem Otthą z Nowego Sącza, pozwolenie na poszukiwanie metali na terenie całego kraju. W ten sposób stał się jednym z polskich pionierów — poszukiwaczy bogactw górniczych w kraju. W końcu XV stulecia wyjechał za granicę, zapewne do Włoch i tam uzyskał tytuł doktora. Następnie wraca do kraju. Imię jego stało się sławne po publicznej dyspucie naukowej, na której obecny był sam król Jan Olbracht i jego brat Aleksander. Adam z Bochenia zostaje zaszczycony godnością nadwornego lekarza.

Jako lekarz królów polskich Jana Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta I Starego, cieszył się ich wielką łaską. Był on również autorem trzech dialogów łacińskich granych na dworze królewskim Zygmunta I. W 1504 r. przeprowadził na Uniwersytecie Krakowskim nostryfikację dyplomu doktorskiego, czyli postępowanie zmierzające do uznania dyplomu uczelni zagranicznej za równoważny z dyplomem krajowym.

Będąc profesorem Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Krakowskiego daje się poznać jako wybitna indywidualność. W latach 1510—1511 piastuje godność rektora. Jego staraniem wprowadzono wiele ważnych i korzystnych dla uczelni reform. Postanowiono, żeby każdy lekarz wykształcony za granicą dawał dowód swych zdolności, wiadomości i umiejętności wobec Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Krakowskiego. Usunięto praktykowany dotąd przy wstępowaniu na uczelnię zwyczaj otrzęsin (system żakowskich prób, jakim był poddawany przez studentów kandydat na studia) i zaprowadzono wiele ulepszeń w bursach akademickich. Adam z Bochenia starał się też pozyskać dla Uniwersytetu Krakowskiego wybitnych uczonych zagranicznych.

Adam z Bochenia — zasłużony profesor i rektor Uniwersytetu Krakowskiego oraz lekarz królewski rodem z Łowickiego — zmarł w Krakowie w roku 1514.

---

wspomniałem o tych kłopotach. I rewelacja! Profesor Siemion Ginsburg powiedział mi z miejsca, że opowiadania znajdują się w „Połnom sobranji soczinenji Marka Twaina". Cóż za radość po latach bezowocnych poszukiwań! Nie wiedziałem wówczas, że w trudzie szperacza dobrnąłem zaledwie do połowy drogi. W jedenastym tomie tego zbioru znalazłem, ale... tylko jedno opowiadanie. W przypisie tłumacz informuje, że Twain poświęcił Szczepanikowi także drugie opowiadanie: „The Austrian Edison Keeping Schollegain", ale gdzie je zamieścił i kiedy — o tym ani słowa. I znów lata poszukiwań. Listy do Chicago, do Londynu, do Lund w Szwecji... Nic, nawet śladu. Dopiero w zeszłym roku przyszła mi do głowy myśl, żeby napisać w tej sprawie do mego radzieckiego kolegi, profesora w Leningradzie, doktora Igora Znaczko-Jaworskiego, chemika zresztą. Pytam go w liście, czy może przypadkiem słyszał coś o tym drugim opowiadaniu Twaina? Długo cisza i naraz, w marcu tego roku, otrzymuję... Niech pan zgadnie, co? Otrzymuję fotokopię z Biblioteki im. Włodzimierza Lenina w Moskwie, z pełnym tekstem tego opowiadania...

6.

Techniczny opis wynalazków Szczepanika przerasta oczywiście, siły laika, ograniczę się przeto wyłącznie do powierzchownych sprecyzowań „humanistycznych" i wypunktowania znaczenia jego największych odkryć. Trudno też uszeregować je w chronologicznym porządku. Często, szczególnie w latach szczytowej płodności twórczej, przedstawiał do opatentowania kilka wynalazków naraz, i to z różnych dziedzin.

W Krakowie dokonał Szczepanik pierwszego wielkiego wynalazku: automatyzacji procesu tkackiego na maszynach Jacquarda, przez zastosowanie metody fotograficzno - elektrycznej. Miał wtedy niespełna 26 lat. Było to tak doniosłe wydarzenie, że w 1898 roku powstało nawet stowarzyszenie do realizacji wynalazków młodziutkiego Polaka pod nazwą „Societe des Inventions Jan Szczepanik i Cie", a także Przedsiębiorstwo Eksploatacji Metody Tkackiej Jana Szczepanika, założone w tym samym roku w Wiedniu. Tutaj też powstały: pracownia osobista wynalazcy, biura konstrukcyjne i towarzystwa handlowe. Warto nadmienić, iż w procesie udoskonalania wynalezionego systemu, Szczepanik wprowadził jeszcze do maszyny Jacquarda sterowanie elektryczne!

Ten pierwszy wynalazek przynosi mu sławę i pieniądze. Tu ciekawostka. W Wiedniu przebywa w owym czasie Mark Twain i, jako człowiek trzeźwy i praktyczny, chce natychmiast kupić wynalazek Szczepanika za półtora miliona dolarów, z zamiarem eksploatowania go w Stanach Zjednoczonych. Sprawa jest tak dalece zaawansowana, że obaj mają się już tylko spotkać, by omówić warunki transakcji. Szczepanik ma nawet przy sobie gobelin z wizerunkiem pisarza, wytkany na skonstruowanym przez siebie automacie i czeka na umówioną godzinę. W ostatniej chwili, doradca finansowy Twaina — Rogers, odwodzi pisarza od tego zamiaru. Nie był to chyba najlepszy doradca...

Fakt godny odnotowania: wykonana w 1898 roku pierwsza seria jedwabnych gobelinów czarno-białych, fotograficzno — elektryczną metodą Jana Szczepanika, jest do dziś przedmiotem podziwu fachowców.

W 1897 roku zgłasza Szczepanik do opatentowania, najpierw w Anglii, a następnie w USA, wynalazek pn. „Telektroskop", opisując go jako „aparat do reprodukowania obrazów na odległość za pośrednictwem elektryczności". Nie jest to wprawdzie ani pierwszy, ani jedyny wynalazek na drodze odkrycia telewizji, niemniej jego autor wprowadza doń bardzo istotne ulepszenia. Wtedy to właśnie Twain, oczarowany wyobraźnią wynalazcy, poświęca mu swoje pierwsze opowiadanie: „From the London Times of 1904" (wyd. 1898 r.).

Uważam za konieczne przytoczyć tu opinię znanego amerykańskiego historyka telewizji, Alberta Abramsona, o Janie Szczepaniku, która jednoznacznie podkreśla walory naukowe jego wynalazków w dziedzinie telewizji. W pracy „Electronic Motion Pictures — A History of the Television", wydanej w 1955 roku, A. Abramson zalicza Jana Szczepanika do grona czołowych wynalazców telewizji, umieszczając go na trzecim miejscu wśród badaczy problemów telewizji XIX stulecia.

7.

O fenomenalnej inwencji twórczej Szczepanika świadczy fakt, iż w przeciągu dwóch lat, od 1898 do 1900 roku, opatentował kilkadziesiąt wynalazków z zakresu automatycznego tkania materiałów wzorzystych. W 1901 roku, mając 29 lat, osiągnął już szczyty sławy i powodzenia; nazywano go powszechnie polskim Edisonem.

Największym jednak wynalazkiem Jana Szczepanika był film barwny. Jego nazwisko i odkrycia wymieniają wszystkie światowe opracowania z zakresu historii fotografii barwnej i filmu kolorowego oraz wszystkie opracowania z dziedziny historii telewizji. Niestety — zawsze w telegraficznym skrócie i nieraz błędnie.

W 1898 roku zgłasza do opatentowania aparat fotograficzny do zdjęć barwnych. W latach 1902—1903 opracowuje technologię produkcji surowca do fotografii barwnej. W 1906 roku dokonuje wynalazku kolorymetru — przyrządu do pomiaru barw. W 1909 roku demonstruje swój nowy wynalazek: rastrowe płyty do fotografii barwnej. W 1920 — zgłasza do opatentowania urządzenie do zapisu dźwięku w filmie. Do wynalazku wnosi kilka nowych elementów w odtwarzaniu dźwięku, stosowanych w kinematografii do dnia dzisiejszego. W ostatnim roku pierwszej wojny światowej opatentował sporo wynalazków z dziedziny filmu barwnego, skonstruował kamerę do filmu barwnego, a następnie podjął próby dostosowania kamer filmowych do praktycznej produkcji filmu w kolorach.

Na rozwiązaniach Jana Szczepanika oparły małoobrazkowy film barwny firmy: „Kodak" i „Agfa".

Swe wynalazki opatentował w wielu krajach europejskich: w Stanach Zjednoczonych, a nawet w Japonii.

8.

Jan Szczepanik dokonał także wielu przeróżnych wynalazków i opracowań niejako mimochodem, na marginesie głównego nurtu swych twórczych poszukiwań. Na przykład: pancerz kulochronny, samoczynny regulator do pieców i palenisk kotłowych, „Fotoskulptor" — urządzenie do modelowania z możliwością kontroli optycznej, ulepszenia w telegrafie bez drutu (patent w 1903 roku) i wiele innych.

Zmarł 18 kwietnia 1926 roku i został pochowany w Tarnowie.

Twórczy umysł Jana Szczepanika, genialnego samouka, wywarł wielki wpływ na rozwój wielu dziedzin współczesnej cywilizacji technicznej. Pamiętajmy o tym nie tylko od święta.

KAROL BADZIAK

NASZE ŚRODOWISKO

Gdy mówimy o ochronie naturalnego środowiska człowieka, to równocześnie mówimy o pieniądzach. Pecunia non olet, ale, niestety, środowisko coraz bardziej. Rzeczywiście, wszelkie środki odpylające, odkażające i zabezpieczające, są bardzo kosztowne. Chcąc mieć czyste morza trzeba budować statki wyposażone w specjalne urządzenia zabezpieczające przed brudzeniem morza. Projekt budowy takich statków istnieje, lecz obawiam się, że zanim zostanie zrealizowany, będzie za późno: morza pokryje gruba warstwa ropy i smarów. Obawy te mogą potwierdzić tegoroczni wczasowicze, przebywający na plażach Trójmiasta lub Kołobrzegu.

Chcąc mieć czyste miasta trzeba wyeliminować transport spalinowy i przejść na napęd elektryczny. Czynimy akurat odwrotnie. Tramwaje zastępujemy autobusami. A poza tym jak tu przystępować do produkcji Fiatów elektrycznych, gdy jeszcze nie wszyscy najeździli się Fiatami benzynowymi. Sprawa jest trudna, ale nie beznadziejna. Myślę, że nie wykorzystaliśmy jeszcze wszystkich bezpłatnych możliwości ochrony środowiska. Nie wyczerpaliśmy wszystkich możliwości zakazów. Jak wiadomo, produkcja zakazów jest najtańsza. Błagam na kolanach zakazodawców, ażeby najpierw zabronili motorówkom i kajakom z motorkami, wściekiej jazdy po wszystkich rzekach i jeziorach, a szczególnie po Pilicy, nad którą wypoczywają każdej niedzieli tysiące łodzian, a wśród nich i autor niniejszej uniżnej prośby. Motorówki na rzece lub jeziorze jest to według mnie najnikczemniejsze bydlę, bo zatruwa jednocześnie wodę i powietrze oraz zakłóca ciszę. Po prostu potwór wodny. Zatopić go!

Kampania na rzecz ochrony środowiska jest czymś tak pięknym i wspaniałym, iż sam bym w niej chętnie wziął udział, ale mi zasady nie pozwalają. Z zasady nie biorę udziału w kampaniach. A więc, gdyby nie zasady, zacząłbym walkę o czystość dalekich mórz i oceanów, rzek, jezior, lasów i łąk od tego, żeby dozorca pozamiatał podwórze wokół mojego domu. I żeby lokatorzy nie wyrzucali śmieci przez okno, lecz do zsypu. No, i żeby z tego zsypu śmieci wybierano codziennie, a nie co trzy dni. A jak bym już wokół domu zrobił porządek i ochroniłbym środowisko, wtedy rozejrzałbym się po mieście. Niewiele by tu jednak było do roboty, ponieważ niedawno był Zlot, który okazał się najlepszym środkiem na porządek w Łodzi. Żeby takie zloty odbywały się częściej...

Oczywiście porządek w mieście, to jeszcze nie ochrona środowiska. Choć jak na początek, to zupełnie, zupełnie. Właśnie wydaje mi się, że w kwestii ochrony środowiska można by zejść trochę nawet na ziemię. Na przykład, jeśli chodzi o świeże powietrze, to instalujemy już wysoko na kominach specjalne filtry, a za mało uwagi przywiązujemy do świeżego oddechu. Jama ustna to też środowisko naturalne człowieka i powinno się je chronić choćby szczoteczką do zębów.

W gruncie rzeczy ochrona środowiska nie jest celem samym dla siebie. Środowisko ochrania się przed człowiekiem dla człowieka. Chodzi jednak o to, żeby nie przesadzać: środowisko czyste, a ludzie w nim brudni, z chuchem, jak z lokalu III kategorii. Takim ludziom głupio i nieprzyjemnie, stają się potem agresywni. Jakże to, żeby środowisko górowało nad człowiekiem, panem wszelkiego stworzenia, było od niego czystsze.

Obserwowałem kiedyś niedzieli owe zmagania przyrody z człowiekiem. Z samego rana łąka i las prezentowały się wspaniale. Później przyjechało towarzystwo liczne, rozpełzło się po lesie, w charakterze sówek-kacówek, rozbebeszyło się na soczystej łące i w rytmie wrzasków, wydostających się z tranzystora przystąpiło spontanicznie do zmasowanego relaksu. Wieczorem wszyscy opuścili teren, zostawiając po sobie nie tylko wspomnienia. Przyroda jednakże szybko dostosowała się do towarzystwa. Była równie zmięta i niechlujna, jak ludzie, którzy ją opuścili. Podejrzewam, że przyrodzie łatwiej się dostosować do człowieka, niż przeciwnie. Obowiązek ochrony środowiska obejmuje także człowieka, który jest integralną częścią natury. W końcu drogą surowych represji i łagodnej perswazji można środowisko naturalne ochronić przed niszczącym działaniem człowieka. Ale jak ochronić człowieka przed nim samym?

Tymczasem ludzie w naszym kraju nie potrafią wypoczywać, nie potrafią korzystać z wody, z lasu, tak, jak nie potrafią korzystać z publicznych automatów telefonicznych. Po niedzielnym wypoczynku lasy i łąki w podłódzkich miejscowościach przypominają śmietniska, obnażają przerażająco niski stan kultury naszego społeczeństwa, oskarżają niedzielnych turystów o wandalizm i barbarzyństwo.

Obawiam się, nie bez pewnych podstaw, że łatwiej zbudujemy okręt, który nie będzie wypuszczał smarów i olejów do morza, szybciej zbudujemy zakłady produkcyjne, które nie będą zatruwały rzek i atmosfery, prędzej skonstruujemy cichobieżne samochody, które nie będą robiły hałasu, niż dochowamy się człowieka, który nie będzie zostawiał po sobie butelek nie tylko na stadionie sportowym.

TP OBIEKTYW

Wakacje, tradycyjna kanikuła. Nikt się specjalnie nie dziwi, że jak co roku mamy ogórki w kulturze. W środkach masowego przekazu również. Nasi koledzy z „Gazety Łęczyckiej" wymyślili smoka grasującego na łęczyckich bagnach, a dzięki łódzkiej telewizji zostali rozsławieni na cały kraj. Upały jak widać nie odbierają poczucia humoru dziennikarzom i reporterom telewizyjnym.

Telewizja egzystuje obecnie w powtórzeniach. W Teatrze TV jest to w pełni usprawiedliwione i nie mamy powodów do narzekań. Dokonany wybór z premier ostatnich trzech lat jest naprawdę znakomity. Choćby ostatnia pozycja. „Bracia Karamazow" z Ignacym Gogolewskim (Złota Maska za rolę Dymitra), Władysławem Hańczą, Stanisławem Zaczykiem i Andrzejem Nardelli, którego, niestety, możemy już tylko zobaczyć w przedstawieniach odtwarzanych z taśm telerekordingu. Twórca przedstawienia Jerzy Krasowski (adaptacja i reżyseria) równie znakomicie wywiązał się ze swojej roli. Z wyjątkiem może zakończenia, zbyt „literackiego", nużącego komentarza, który dramaturgicznie nie przylegał do całości, był właściwie zbędny dla odczytania i zrozumienia wymowy dzieła Dostojewskiego.

Bądźmy sprawiedliwi. Telewizja nie tylko egzystuje powtórzeniami, ale przede wszystkim stałymi pozycjami. Wiele z nich, jak przypuszczam, musiało być przygotowane wcześniej, bo nie utraciły nic ze swego normalnego poziomu (np. Magazyn „Kontakty", któremu już poświęciłem trochę uwagi). Inne zaś, jak „Kraj", „Swiat i Polska", ciężarem gatunkowym prezentowanych problemów, tak czy inaczej, przyciągają naszą uwagę. Bo w polityce, gospodarce (żniwa!) życiu społecznym nie ma konikuły. Codzienne, nabite serwisy informacyjne świadczą o tym najlepiej. Jeszcze raz potwierdza się stara prawda, że tam gdzie TV wchodzi w środek życia, w gąszcz problemów, które są również naszymi problemami — zawsze wówczas wychodzi obronną ręką. Gotowi jesteśmy przy tym mniej surowym okiem patrzeć na niedostatki formalne czy techniczne, pośpiech, improwizacja itd.

Uwzględniając po części kanikułową tematykę, chciałbym powyższe stwierdzenie poprzeć przykładem „Ekspresu". Zespół znanych autorów satyrycznych i aktorów komediowych przedstawił nam kolejny odcinek ilustrowanego felietonu pod tym właśnie hasłem, gdyż wszystkie te mikroscenki rozgrywają się w przedziale ekspresowego pociągu. My, Polacy, jak wiadomo, lubimy (czy musimy?) podróżować. A przy tym gadać, rozprawiać do upadłego. Stąd rodowód tego udanego pomysłu. A udanego przede wszystkim dlatego, że większość tekstów podsunęło nam samo życie. Znowu śmiejemy się właściwie z samych siebie. To przecież nie autorzy wymyślili, że nasi raidowcy muszą brać ze stacji benzynowych kwity za pobrane paliwo. Jak również nie natchnienie podsunęło im pomysł o przetrzymywaniu w szpitalu zdrowych ludzi, żeby szpital mógł się utrzymać w normie zużytych leków na jednego pacjenta.

Wróćmy do nieco innych spraw. Taka jest nasza historia i współczesność, że powinniśmy i musimy do nich wracać. 10 sierpnia obejrzeliśmy dwie następne pozycje z krakowskiego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych. „Leśnych" Zygmunta Adamskiego z muzyką Zygmunta Koniecznego oraz „Salut dla „Garlanda" Leonarda Ordo (nagroda Brązowego Lajkonika). Filmy bez wątpienia bardzo dobre, które również sprawdziły się jako pozycja telewizyjna. Pomysł zaprezentowania w TV najlepszych pozycji z ostatniego festiwalu trzeba więc również uznać za bardzo dobry. To mogą i powinny być w przyszłości znaczące pozycje telewizyjnego repertuaru.

Jakie są te filmy? „Leśni" to ascetyczna w formie, zorganizowana w oparciu o materiał prawie wyłącznie fotograficzny (niewiele dokrętek filmowych) opowieść o walce, śmierci, życiu codziennym partyzanckich oddziałów. Piękna ballada Koniecznego nadaje dyskretny, ożywiający rytm tym pozornie statycznym fotogramom. Umiejętne wykorzystanie skromnych środków, celne operowanie zbliżeniem i dalekim planem, muzyka animująca niejako przechodzenie z jednej sceny do następnej — dało nam opowieść autentyczną i sprawiającą duże wrażenie. Twórca filmu o marynarzach z ORP „Garland" był w lepszej sytuacji. Odnalazł taśmy filmowe Pawła Płonki, marynarza i operatora z „Garlanda" dodajmy, dzielnego reportera wojennego, którego bez przesady można nazwać współtwórcą filmu. Film jest bliższy nam w konwencji, bardzo dynamiczny, wstrząsający jak każda relacja autentyczna.

JAROSŁAW TARNO

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

„ADALEN 31"

Nieczęsto zdarza się słyszeć dźwięki Międzynarodówki w filmach reprezentujących kinematografie kapitalistyczne, nieczęsto zdarza się w ich filmach oglądać pochód robotników maszerujących w takt tej melodii. Jeśli dodamy do tego, że premiera filmu odbyła się w Sztokholmie 1 maja 1969 r. intencje autorów będą całkiem już niedwuznaczne, a gorące spory wokół filmu w prasie szwedzkiej nie obudzą zdziwienia.

Reżyser Bo Widerberg, przedstawiciel nurtu zaangażowanego w kinematografii szwedzkiej, przeciwnik Bergmana jako twórcy niezainteresowanego wydarzeniami współczesnymi, autor wielu filmów o tematyce społeczno-politycznej, tym razem sięgnął po wypadki autentyczne z 1931 roku — największy w dziejach szwedzkiego ruchu robotniczego strajk w portowym miasteczku Adalen. W 1969 roku film otrzymał Wielką Nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes, u nas prezentowany był na ostatnich Konfrontacjach.

Wśród naszej krytyki padały słowa, że Widerberg uczy jak w sposób nieschematyczny przenosić na ekran wydarzenia polityczne, jak surowy przebieg strajku pokazać poprzez losy jednostek, poprzez podglądanie ich życia prywatnego, poprzez wkradanie się do domów, do rodzin, jak uczynić działaczy robotniczych bliskimi widzowi. Nie wydaje mi się to prawdą. Mamy, choćby w dorobku polskiej kinematografii, wiele filmów poświęconych historii ruchu robotniczego, od jakże dawnej „Pamiątki z Celulozy" po współczesną „Perłę w koronie" (długi dzieli je okres, niemal cała epoka naszej kinematografii) właśnie w sposób nieschematyczny, poprzez losy ludzkie, rekapitulujących walkę klasy robotniczej o jej prawa. Osobiście wolę polskie filmy tego gatunku z ich ciemnym kolorytem, zagęszczoną atmosferą, konsekwentnym dostosowaniem konwencji artystycznych do podjętego tematu.

Ale nie w tych kategoriach rozpatrywać trzeba film Widerberga. Choćby dlatego, że powstał na innym politycznym gruncie, wyrósł z innych tradycji artystycznych, estetycznych. W tych warunkach Widerberg jest pionierem. Ale mimo, że protestuje przeciw Bergmanowi, jest przecież w jakimś sensie jego wychowankiem. Syn, najbardziej niepodobny do ojca, dziedziczy po nim przecież pewne cechy, pewne nawyki. „Adalen 31", mimo autentyzmu wydarzeń strajkowych (wśród statystów znaleźli się wszyscy żyjący uczestnicy wydarzeń z 1931 roku), mimo wstrząsającego wrażenia, jakie robi scena kulminacyjna pochodu robotniczego, zakończona krwawym porachunkiem wojska ze strajkującymi, na nas film ten — jako całość — robi wrażenie barwnej, poetyckiej baśni.

Poetyckość filmu przejawia się w pięknie malarsko potraktowanych pejzaży (zdjęcia — Jörgen Persson), wyraźnie znamionujących kult Widerberga dla Renoira — malarza, w potraktowaniu scen miłosnych. Sceny erotyczne umieścił reżyser wśród dojrzewającej, odkrywającej życie seksualne młodzieży. Potrafił uniknąć tu naturalizmu, zachował umiar, kulturę i dyskrecję.

Talent Widerberga sprawił, że „Adalen 31" jest dziełem wysokiej rangi artystycznej, wysmakowanym estetycznie, a jednocześnie poruszającym surową wymową faktów społeczno-politycznych sprzed czterdziestu lat. Krytycy szwedzcy pytali autora czy uważa tamte, przebrzmiałe dla Szwedów wydarzenia za problemy aktualne.. Odpowiedział, że tak. „Nie zapominajmy, że takie zjawiska jak przemoc, tłumienie żądań manifestantów przy pomocy oddziałów wojskowych w służbie wielkich przedsiębiorstw, to zjawiska do dziś aktualne w co najmniej 20—30 krajach świata, w których ogromna przepaść dzieli bogatych od biednych, sytych od głodnych".

Nas, widzów obeznanych z filmem społeczno-politycznym, razić mogą trochę — drobne zresztą — naiwności w sposobie ukazywania nierówności społecznych (np. kolacja u bezrobotnego i kolacja u dyrektora fabryki) czy dialogach ideologicznych. Ale nie do nas jest ten film adresowany. A adresatów zaszokował i szokować będzie dalej, bo jego ranga artystyczna wróży mu długi żywot na ekranach wielu krajów świata.

„WIELKA NADZIEJA BIAŁYCH"

Film amerykański Martina Ritta (zdjęcia — Burnett Guffey) to znów dzieje autentyczne niemal — przeniesione na ekran po 60 latach. To historia czarnoskórego boksera amerykańskiego, mistrza wszechwag — Jacka Johnsona, w filmie noszącego nazwisko Jeffersona. Tragiczne dzieje słynnego Murzyna posłużyły Rittowi (za scenarzystą Howardem Sacklerem) za pretekst do stworzenia filmu o silnych akcentach antyrasistowskich. Fakt, że Jefferson był niepokonany, biali rasiści traktowali jako obelgę, ich nienawiść pogłębiał fakt, że żył z białą kobietą. Prześladowany przez policję i władze stanowe — Jefferson kapituluje — przegrywa swą ostatnią walkę.

Film jest bezbłędny warsztatowo, amatorom sportu dostarcza dodatkowej emocji w postaci 26-rundowej walki na ringu. Największym jego walorem jest jednak kreacja głównego bohatera, murzyńskiego aktora Jamesa Earla Jonesa. To wielka kreacja tworząca sugestywną postać samotnego wśród tłumów, rozdartego wewnętrznie Murzyna, który nie należy właściwie już ani do czarnych ani do białych.

JOANNA SERGONT

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

„NADEJDZIE ŚMIERĆ I POSIĘDZIE OCZY TWOJE"

— taki jest tytuł poematu, jednego z najpiękniejszych erotyków współczesnych. Ale kiedy ukazał się on w druku, jego autora Cesare Pavese nie było już wśród żywych. W sierpniu 1950 roku w pokoju hotelowym w Turynie odebrał sobie życie.

Cesare Pavese włoski powieściopisarz, poeta, nowelista, eseista i znakomity tłumacz literatury amerykańskiej, jeden z najwybitniejszych pisarzy powojennej generacji Italii urodził się w roku 1908 w małej wiosce w Santo Stefano Belbo.

Całe jego pisarstwo jest wyrazem samotności, lęku przed miastem, wyobcowania, próbą powrotu do wydealizowanego okresu młodości, poszukiwania celu w życiu i nie znajdowania go. Pavese stracił ojca gdy był jeszcze dzieckiem, matka wychowywała go surowo i despotycznie, nie okazując nigdy nawet najmniejszej czu-

Cesare Pavese

ności. Lata spędzone na wsi wywarły trwały wpływ na pisarza. Zawsze będzie w swych książkach tęsknił za rodzimym, wiejskim krajobrazem. Bohaterowie jego powieści, tak jak on sam, to ludzie udręczeni, samotni, pełni rozpaczy, na próżno szukający miejsca w społeczeństwie, przyjaźni i miłości. Pavese nienawidzący faszyzmu czynny jest w ruchu oporu. Trzy lata przebywa na wygnaniu ukarany przez faszystów za przechowywanie materiałów antyrządowych. Po wojnie zapisuje się Pavese do Komunistycznej Partii Włoch, ale jego próba włączenia się aktywnie do nurtu życia społeczno-politycznego nie udaje mu się. Czuje się samotnikiem i takim pozostanie do swej tragicznej śmierci. Nieszczęśliwa miłość do kobiet, zwłaszcza do kobiety, dla której pisze „Nadejdzie śmierć..." pogłębia jego depresję duchową. Odbiera sobie życie w momencie kiedy jest pisarzem czytanym i uznawanym i kiedy otrzymuje najważniejsza nagrodę literacką Italii — Prix Strega. Pozostawił po sobie zbiory wierszy, powieści, szereg tłumaczeń dzieł amerykańskich pisarzy m. in. tłumaczył Dos Passosa. Pozostawił też wzruszający pamiętnik pt.: „Rzemiosło życia".

Ostatnio telewizja francuska przypomniała postać Pavesa w dwudziestą drugą rocznicę jego śmierci.

MARILYN MONROE — POETKĄ

„Nie płacz moja laleczko
Nie płacz!
Ukołyszę cię w moich ramionach. Zaśnij!
Cicho, cicho! Nie jestem twoją mamusią,
Twoja mamusia umarła".

W 10 lat po samobójczej śmierci Marilyn Monroe ukazały się w Stanach Zjednoczonych wzruszające w swej prostocie i bezpośredniości liryczne wiersze aktorki filmowej. Dotychczas nikt nie wiedział, że Monroe pisała wiersze. Przejawia się w nich obsesja śmierci. I tak np. wiersz o laleczce kończy się tragicznym apelem: „Na pomoc! Odczuwam życie wtedy kiedy pragnę jedynie śmierci".

GINIE PARYŻ

Paryż ginie. Przynajmniej Paryż starych budowli, wieży Eiffla, Notre-Dame, Łuku Triumfalnego, Paryż Montmartre'u i Montparnasse'u, Paryż cyganerii artystycznej, clochardów, bukinistów nad Sekwaną. Paryż miasto o niepowtarzalnym wdzięku, Paryż miasto sztuki i architektury.

„Jak wrzód, szał zniszczenia" toczy to historyczne miasto — pisał szwajcarski „Neue Zurcher Zeitung". Wokół zabytkowych budowli, do których tak przyzwyczaiło się oko paryżanina i turysty, powstają olbrzymie wieżowce przesłaniając swym widokiem historyczne pamiątki. Wieża Eiffla, tak wielekroć krytykowana, ale która stała się symbolem widomym stolicy nad Sekwaną, ginie wśród betonu biurowców. „Cały świat — żalił się „Suddeutsche Zeitung" — patrzy ze ściśniętym sercem jak zmienia się Paryż, jak „wandalizuje się" panorama miasta". Malownicze dzielnice nad Sekwaną wyparte zostały przez biurowce. W tradycyjnej dzielnicy artystów Montparnasse, jeszcze nie tak dawno cichej i idyllicznej, już wznosi się 62-piętrowy drapacz chmur. Na zachód od Łuku Triumfalnego olbrzymie wieżowce przypominają budowle Chicago, Manhattanu czy Sao Paulo. „To miasto nie może być muzeum" — pisał słusznie „France-Soir". Ale problem polega na tym, że nowoczesna zabudowa i przebudowa Paryża odbywa się bezplanowo, chaotycznie, że ten nowy Paryż budowany jest przez drugorzędnych architektów i że zabudowa jest często wynikiem rozszalałej spekulacji placami.

Unowocześnienie Paryża jest palącą koniecznością. Stolica Francji zgodnie ze swą tradycją jest miastem gdzie koncentrują się niemal wszystkie sprawy żywotne kraju. Co piąty zawodowo pracujący Francuz przenosi się w rejon Paryża. Blisko jedna czwarta samochodów z całej Francji krąży po Paryżu lub przejeżdża przez Paryż. Codziennie dojeżdża do miasta 900 tysięcy ludzi. Dla miliona samochodów krążących ulicami Paryża istnieje tylko 180 tysięcy miejsc parkingowych. Paryskie domy

Paryski biurowiec „Maine Montparnasse" i domy mieszkalne nad Sekwaną

mieszkalne są stare. Połowa z nich została zbudowana więcej niż przed wiekiem. Sporządzona w połowie lat sześćdziesiątych statystyka ujawniła, że tylko cztery na pięć paryskich mieszkań ma wodę bieżącą, tylko połowa dysponuje klozetem, a tylko jedno mieszkanie na pięć zaopatrzone jest w łazienkę z wanną lub tuszem. Podczas gdy w zachodniej części miasta mieszkania są komfortowe i niesłychanie drogie jak np. na Avenue Foch, we wschodnich dzielnicach, gdzie stłoczeni są mieszkańcy najbiedniejsi, panują okropne warunki sanitarne.

Jeszcze w latach dwudziestych radykalną przebudowę Paryża projektował Le Corbusier, ale jego plany zostały odrzucone, tak jak innych architektów. Na początku lat siedemdziesiątych przebudowa Paryża dostała się w ręce drugorzędnych budowniczych. Kwitnie na wielką skalę spekulacja terenami budowlanymi, nie istnieje jakiś ogólny, nadrzędny plan przebudowy Paryża, brak jest jakiejkolwiek kontroli. I tak np. w jednym z najbardziej ruchliwych punktów miasta wznosi się wieżowiec „Main-Montparnasse" z tysiącem luksusowych apartamentów i pomieszczeniami do pracy dla ośmiu tysięcy ludzi. Pomyślano wprawdzie o podziemnych garażach, ale zapomniano o miejscach na skwery i place zabaw dla dzieci. Eksperci twierdzą, że zamrze tu wszelki ruch kołowy z powodu zatłoczenia i że dzieci będą się bawiły na sąsiednim cmentarzu.

Ostatnio prefekt Jean Verdier ogłosił zarządzenie według którego budowa drapaczy chmur w mieście ma być znacznie ograniczona. Ale zarządzenie to może wejść w życie najwcześniej w roku 1974. A jak uczy doświadczenie zarządzenia tego rodzaju nie zawsze są przestrzegane. Już poprzednik obecnego prefekta, wydał w roku 1959 zakaz wznoszenia w centrum Paryża budowli wyższych niż 31-metrowe, a na peryferiach wyższych niż 37 metrów. I cóż z tego? Na Montparnasse w uroczyste święta państwowe powiewa trójkolorowa flaga z betonowego wieżowca, który ma 209 metrów wysokości.

KOLEKCJA ERENBURGA W MUZEUM

Znany pisarz radziecki Ilja Erenburg, zmarły w roku 1967, pozostawił m. in. bardzo cenną kolekcję grafiki współczesnej. Obecnie ponad sto dzieł składających się na ten zbiór zostało przekazanych do Państwowego Muzeum Sztuk Plastycznych im. A. S. Puszkina w Moskwie. Wśród dzieł znajduje się m. in. czterdzieści pięć rysunków i grafik Picassa. Specjalnie interesujące są kolorowe linoryty. Wiele prac dedykował Picasso, własnoręcznie Erenburgowi.

W kolekcji znajduje się m. in. portret Erenburga malowany przez Matisse'a, grafika Legera, litografia rzeźbiarza Giacomettiego i wiele innych prac artystów różnych krajów zachodnio-europejskich. Ponadto kolekcja zawiera dzieła graficzne mistrzów radzieckich — Konczałowskiego, Liebiediewej i innych. Muzeum przygotowuje wystawę tego ciekawego zbioru.

POLONICA

POEZJA JANA SZTAUDYNGERA W DANII

W Bibliotece Polskiej w Kopenhadze odbył się wieczór literacki, poświęcony twórczości Jana Sztaudyngera. Słowo wstępne wygłosił Eugeniusz Stanisław Kuszewski, narratorami byli: Ewa Młodecka i Andrzej Zalewski. W zaproszeniach umieszczono fragment artykułu, napisanego przez Witolda Zechentera, w pierwszą rocznicę śmierci Jana Sztaudyngera.

Twórca „Piórek", „Supełków", „Rymów" i „Domu mojego" jest ogromnie popularny wśród polskiego wychodźctwa. „Supełki" sprzedane są nawet w Australii, oczywiście za ciężkie dewizy. Wiadomość ta specjalnie miła dla łodzian, wśród których Sztaudynger ma tylu zwolenników, pamiętających jego pobyt w tym mieście i książki związane z Łodzią.

W. N.

POLONICA

Półka z książkami

STOSUNKI MIĘDZYNARODOWE

„Współczesne stosunki międzynarodowe" pióra profesora prawa międzynarodowego, **REMIGIUSZA BIERZANKA**, to lektura mogąca w równy sposób zainteresować studentów prawa, jak i czytelników, którzy informacje z zakresu spraw międzynarodowych czerpią wyłącznie z prasy. I właśnie wobec tych ostatnich adresatów książka spełnia największą rolę. Przedstawia bowiem problematykę współczesnych stosunków międzynarodowych jako zjawiska o określonej genezie i rozwoju wraz z całym ich uwarunkowaniem społeczno-politycznym.

„Wiadomości wstępne" mają na celu przybliżenie pojęć i terminów, bez których trudno swobodnie poruszać się po kartach tej ciekawej książki, prezentującej w dalszej kolejności takie zagadnienia jak: czynniki kształtujące stosunki międzynarodowe, ugrupowania państw, typy stosunków międzynarodowych, bezpieczeństwo międzynarodowe i rozbrojenie.

Szczególnie zasobna pod względem informacyjnym jest część dotycząca prawno-organizacyjnych form stosunków międzynarodowych, ukazująca organizacje służb dyplomatycznych i centralnych organów rządowych, za pośrednictwem których państwo wykonuje swoje fukcje na zewnątrz.

Wreszcie „Organizacje międzynarodowe" to obraz roli, zadań, nadziei i... nie spełnionych nadziei państw i narodów, wiążących je z misją tych międzynarodowych organów.

Jeśli przed niniejszą lekturą obraz stosunków międzynarodowych był dla czytelnika niejasny i skomplikowany, to po jej ukończeniu staje się bardziej zrozumiały w swym uwarunkowaniu skutkowo-przyczynowym, lecz skomplikowanym nadal być nie przestaje.

M. N.

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

DZIENNIKARSTWO ZAANGAŻOWANE

MARGINES WŁASNEGO ZDANIA — SPRZECIW WOBEC PRAKTYKI — POTRZEBA ODPORNOŚCI PSYCHICZNEJ — POLSKA NORMA — LUDZIE TWORZĄ SYTUACJE

Uprawiam felietonistykę, którą czytelnicy zwą zaangażowaną. Fakt, że ta ocena spotyka mnie właśnie w listach czytelników — (i dodam — tylko w listach) — skłoniła mnie do zastanowienia się nad istotą owego zaangażowania. Co to bowiem znaczy, że czytelnik mówi o dziennikarzu — zaangażowany? Powtarzam — właśnie czytelnik.

Wiemy oczywiście wszyscy co znaczy dobry, zaangażowany dziennikarz w rozumieniu urzędników różnych szczebli i instytucji. Najczęściej znaczy to przenoszenie uchwał i opinii. Bez marginesu na opinie naprawdę własne, na ryzyko pomyłki w ocenie, na luksus własnego, choćby kontrowersyjnego zdania.

Także w tym miejscu pozwolę sobie na kontrowersyjne zdanie. Myślę bowiem, że każde naprawdę zaangażowane dziennikarstwo musi być tworzone z pozycji „nie", z pozycji sprzeciwu. Oczywiście nie chodzi o sprzeciw wobec pryncypiów, wobec zasad i podstaw — chodzi o sprzeciw wobec praktyki. A praktykę mamy tak zabałaganioną w wielu dziedzinach, że tematu nie zbraknie.

Jest to rzecz prosta proceder śliski. Odpowiedzialni za określone praktyki czują się najczęściej uosobieniem najświętszych pryncypiów naszego ustroju. Atak na praktyki jest więc atakiem na konkretnych ludzi — ergo na ustrój. Takie rozumowanie jest dość częste i niejeden dziennikarz dotkliwość tego rodzaju rozumowania odczuł na własnej skórze boleśnie.

Dziennikarstwo zaangażowane, atakujące niedobre praktyki nie tylko w spółdzielni pracy w Pajęcznie czy knajpie III kategorii, ale wyżej i szerzej — wymaga sporej odporności psychicznej. Nie jest łatwo wołać „veto" praktykom jeśli za nimi stoją ludzie okrzepli w fotelach i gabinetach. Fakt, że owo wołanie obraca się często przeciwko dziennikarzowi nie jest jeszcze najgorszy. Po prostu ponosimy ryzyko zawodu. Ale przecież nasze wołanie obraca się często przeciwko pozytywnym bohaterom naszych publikacji.

Istnieje praktyka, która właściwie jest publiczną tajemnicą. W konfliktach, nadużyciach, wykroczeniach najczęściej pada ofiarą także ten, który do ujawnienia nabrzmiałych sytuacji doprowadził. Choćby ręce miał najczystsze. Odchodzą winni dyrektorzy, prezesi, naczelnicy — i także ten, który napisał skargę, który przyszedł do redakcji, który ujawnił.

Taka jest norma, taka jest praktyka. Mówi się wówczas: „dla uzdrowienia atmosfery". Nonsens. Przy takiej praktyce atmosfera nigdy nie będzie zdrowa.

Ale jest taka „polska norma" i każdy dziennikarz może sypnąć przykładami ze swego notesu.

I tu się zaczyna kłopot dla dziennikarza, który chce być zaangażowany. Można przy jakiej takiej odporności psychicznej atakować cios za ciosem niedobre praktyki określone konkretnie, szczegółowo. Ale jak ugryźć, jak zaatakować praktykę, która jest „normą krajową" tak dalece, że stała się zasadą? Atakować zasadę?

Można, ale przekracza się wówczas granicę, którą każdemu partyjnemu dziennikarzowi zakreśliło jego sumienie i poczucie odpowiedzialności. Nie mogę i nie chcę wybierać sobie wśród zasad tych, które budzą moje wątpliwości, bo to prowadzi już krętą ścieżką na manowce. Mam prawo mylić się w detalach — jako partyjny dziennikarz nie mogę sobie pozwolić na pomyłki dotyczące zasad. Tym bardziej nie wolno mi ujawniać tych pomyłek w druku.

Ale przecież wciąż mam w pamięci zdanie, które przeczytałem niedawno w „Kulturze". — „Kształt każdej idei nadają ludzie, a ludzie tworzą sytuacje". Myślę, że naprawdę zaangażowane dziennikarstwo musi być sprzeciwem wobec niedobrych sytuacji jakie spotykamy jeszcze na trasach naszych wędrówek. Bez względu na to jacy ludzie je tworzą.

JERZY WILMAŃSKI

AGATHA CHRISTIE

Tajemnica Market Basing

Inspektor Japp, detektyw Poirot i jego przyjaciel Hastings w czasie weekendu w miejscowości Market Basing zostali wciągnięci przez policjanta Pollarda do badania sprawy tajemniczej śmierci Brothera, który mieszkał wraz z pokojówką, panną Clegg. Lekarz Giles nie godzi się z tezą samobójstwa, gdyż kula przeszła pod lewym uchem, a rewolwer leżał w prawej ręce denata. Obok trupa znaleziono na podłodze spinkę od mankietu i podejrzenie pada na Parkera, który wraz z żoną jest od kilku dni gościem w domu Brothera. Poirot zainteresował się chusteczką w mankiecie szlafroka denata.

(Dokończenie)

— No dobrze, ale wciąż nie wiemy, kto mógł zabić. Chyba jedna z tych trzech osób, które znajdowały się w domu. Najmniej podejrzeń mam w stosunku do pokojówki. Miała osiem lat, żeby zabić Brothera, gdyby tego chciała. Co to za ludzie ci Parkerowie? Nie wydają mi się sympatyczni. Dziwna para.

Miss Clegg zjawiła się w drzwiach. Była to kobieta szczupła, delikatna, spokojna. Miała sposób bycia dobrze wychowanej osoby.

Odpowiadając na pytania inspektora wyjaśniła, że pozostawała w służbie u Brothera od przeszło czternastu lat. Był to zwierzchnik wspaniałomyślny i wzbudzający szacunek.

Co się tyczy Parkerów wyjaśniła, iż nie widziała ich nigdy przedtem zanim przybyli do tego domu przed trzema dniami. Nikt się ich nie spodziewał, postanowili pozostać tu przez jakiś czas.

— Jak odniósł się do nich pan Brother? — chciał wiedzieć Japp.

— Był bardzo niezadowolony z tej wizyty.

Inspektor pokazał kobiecie spinkę.

— Czy pani to widziała u swego pana?

— Nie. To na pewno nie należało do niego.

Dalsze pytania dotyczyły pistoletu. Panna Clegg zeznała, że jej zwierzchnik miał broń tego typu, lecz trzymał zawsze pod zamknięciem. Tylko raz ją widziała kilka lat temu, dobrze nie pamięta i nie może stwierdzić na pewno, czy to właśnie ta sama.

— Czy pani słyszała strzały?

— Nie słyszałam żadnego strzału zeszłej nocy, lecz to nic dziwnego. Dom jest ogromny, a mój pokój — oraz państwa Parkerów — znajdują się w przeciwległym skrzydle budynku.

— O której godzinie pan Brother położył się spać? — zapytał inspektor.

— Nie wiem. Chodził jeszcze, gdy o 21.30 udałam się do mojego pokoju. Pan miał zwyczaj zasypiać po północy, przedtem czytał i palił papierosy. Był namiętnym palaczem.

W tym miejscu zadał pytanie Poirot:

— Czy pan Brother spał przy otwartym czy przy zamkniętym oknie?

Miss Clegg zastanowiła się.

— Przy otwartym — odpowiedziała.

— Lecz teraz okno jest zamknięte, czy pani może mi wyjaśnić dlaczego?

— Nie. Chyba, poczuł zimno i zamknął.

Inspektor zadał jeszcze kilka pytań i pożegnał kobietę.

Następnie przywołał Parkerów, każde z osobna. Najpierw zaczął badać żonę, lecz kobieta tylko płakała i niewiele mógł z niej wydobyć.

Pan Parker rozgniewał się już po pierwszych pytaniach. Zaprzeczył jakoby spinka miała do niego należeć, lecz żona już wcześniej ją zidentyfikowała jako własność męża.

Po tych rozmowach inspektor uważał, iż posiada wystarczające dowody, żeby aresztować Parkera. Pozostawiwszy w willi Pollarda wrócił do miasteczka i zatelefonował do centrali.

Poirot i ja poszliśmy do hotelu.

— Pan jest dziwnie spokojny — zacząłem. — Czy nie interesuje pana ten przypadek?

— Wprost przeciwnie, bardzo mnie interesuje. Są tu jednak pewne rzeczy niepokojące.

— Dla mnie jest niezrozumiały motyw działania — zauważyłem. — Lecz zapewne Parker czymś się kierował. Wszystko inne jest raczej jasne.

— Pułkowniku, czy pan nie zauważył czegoś specjalnego, co uszło uwagi inspektora?

Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Co pan ukrywa w zanadrzu?

— A co miał zmarły w swoim zanadrzu, czyli w rękawie?

— Ach, tę chusteczkę!

— Istotnie, chusteczkę.

— Marynarze noszą chusteczki w rękawie — rzekłem coś sobie przypominając.

— Racja, Hastings, lecz nie o to mi chodzi.

— Jest w tym jeszcze coś innego?

— Tak. Poza tym stale wracam myślą do zapachu dymu z papierosów — rzekł jakby do siebie Poirot.

— Ja niczego nie czułem.

— Właśnie, właśnie, mon ami! Ja też nie czułem dymu.

Przyglądałem mu się nic nie rozumiejąc. Trudno jest zgadnąć, kiedy Poirot żartuje, lecz tym razem był poważny, bardzo poważny.

☆ ☆ ☆

Urzędowe śledztwo rozpoczęło się w dwa dni później. W tym czasie wyszły na jaw inne fakty, które posunęły badania naprzód.

Pewien włóczęga opowiedział policji, że przeskoczył mur podwórza domu Brothera, aby móc przespać się, jak to często robił, w kryjówce znajdującej się w ogrodzie. Zeznał, że około północy słyszał, jak w willi w pokoju na pierwszym piętrze dyskutowało gorąco dwóch mężczyzn. Jeden z nich, wysoki brunet, żądał pieniędzy. Drugi, zdecydowanie odmawiał.

Włóczęga przybliżył się do okna i schowany w krzakach mógł ich dokładnie obserwować. Widział, jak obaj mężczyźni przesuwali się w oświetlonym oknie. Pana Brothera znał dobrze, drugi, na podstawie opisu włóczęgi został przez policję zidentyfikowany jako pan Parker.

Niedługo stało się jasne, iż państwo Parker przybyli do Leigh House, aby szantażować właściciela.

Policja zaczęła badać przeszłość zmarłego. Wykryto, że jego prawdziwe nazwisko brzmiało Wendower. Był przed wielu laty komendantem pasażerskiego statku Merrythout, który eksplodował w 1940 roku. Teraz sprawa stała się jasna i szybko mogło nastąpić rozwiązanie zagadki.

Prawdopodobnie Parker wiedział w jakim stopniu Wendower był odpowiedzialny za tragedię morską i tropił go, aby następnie szantażem wyłudzić pieniądze. Spotkał się jednak z odmową.

W czasie kłótni zdenerwowany Wendower wyciągnął pistolet. Parker wyrwał mu broń z ręki i zabił go. Potem usiłował zaaranżować wszystko w ten sposób, żeby nadać morderstwu cechy samobójstwa.

Parker został postawiony pod sąd...

Zaledwie wyszliśmy z sali sądowej Poirot pokiwał głową.

— Chyba tak musiało wszystko się odbyć — mruczał do siebie. — Nie mogę już dłużej czekać.

Wszedł do urzędu pocztowego i nadał pilny list ekspresowy. Lecz nie udało mi się przeczytać nazwiska adresata.

Potem wróciliśmy do hotelu, gdzie mieliśmy wynajęte dwa pokoje na okres tego niezapomnianego weekendu.

Mój przyjaciel był niespokojny. Spacerował wzdłuż pokoju i często wyglądał oknem.

Przypatrywałem mu się nic nie rozumiejąc.

— Oczekuję wizyty — wyjaśnił mi krótko.

Ciekawość moja rosła, lecz nie pytałem.

— A jednak... — szeptał do siebie detektyw — a może jednak to jest wielka pomyłka?... Nie!... Oto nadchodzi!

Zdziwiłem się ogromnie widząc, że do naszego pokoju weszła miss Clegg. Była mniej spokojna niż zwykle, dyszała ciężko, może za szybko biegła?

Wyczytałem w jej oczach lęk, gdy spojrzała na detektywa.

— Proszę siadać... mademoiselle — odezwał się grzecznie pan Poirot. — A więc odgadłem, prawda?

Upadła na fotel wybuchając płaczem. To była jej odpowiedź.

— Dlaczego pani to uczyniła? — chciał wiedzieć detektyw.

— Kochałam go tak bardzo! — odpowiedziała szlochając. — Byłam jego guwernantką od czasu, gdy był jeszcze dzieckiem. Błagam pana, proszę mieć litość nade mną!

— Przyrzekam, że zrobię, co będę mógł. Ale trzeba mnie zrozumieć, nie mogę pozwolić, żeby powieszono niewinnego człowieka... nawet, gdy niewiele jest wart.

Miss Clegg wstała i rzekła zmęczonym głosem: — Proszę robić, co pan uważa za stosowne.

Potem nagle wyszła z pokoju.

— Więc ona go zabiła?! — krzyknąłem zdziwiony.

— Nie zabiła. Pan Brother, a raczej komendant Wendower popełnił samobójstwo. Czy pan sobie przypomina chusteczkę, którą miał w prawym rękawie? Wywnioskowałem z tego, że był mańkutem. Obawiając się skandalu, po kłótni z Parkerem, popełnił samobójstwo.

Nad ranem miss Clegg poszła do sypialni, aby obudzić pana, jak to zwykle robiła. Lecz był już martwy. Jak nam przed chwilą wyjaśniła, znała go od dziecka. Zrozumiała lepiej, niż kto inny całą tragedię, którą sprowokowali Parkerowie... Nie mógł się nawet bronić....

Miss Clegg wpadła we wściekłość i postanowiła zemścić się na tych, którzy pchnęli jej zwierzchnika do tak haniebnej śmierci, uważała ich za zbrodniarzy. Szybko zainscenizowała pozory, które miały rzucić na nich podejrzenie. Tylko ona wiedziała, że Brother był mańkutem. Włożyła mu pistolet do prawej ręki, zamknęła okno, założyła sztabę. Ostatnim aktem było położenie spinki w pobliżu trupa. Spinkę zabrała z pokoju Parkera. Wyszła zamknąwszy drzwi na klucz, który schowała.

— Poirot! — krzyknąłem z entuzjazmem — jest pan cudowny! I to wszystko wydedukowane ze zwykłej chusteczki!

— Nie tylko, także i z dymu papierosowego. Bo przy zamkniętym oknie i po tak obfitym paleniu w tym pokoju powinno się czuć ostry dym tytoniu. Tymczasem powietrze było prawie czyste. Z tego wywnioskowałem, że okno pozostawało otwarte przez całą noc. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego zbrodniarz chciał je zamknąć. Korzystniej dla niego byłoby zostawić okno otwarte, żeby policja myślała, iż uciekł właśnie tą drogą. Naturalnie, gdyby się nie przyjęła teza o samobójstwie.

Oświadczenie włóczęgi potwierdziło moje przypuszczenia. Nie mógłby przecież podsłuchać rozmowy między dwoma mężczyznami, gdyby okno było zamknięte.

— Wspaniale! — zawołałem. — Dumny jestem z mojego przyjaciela. — A teraz co byś powiedział na filiżankę herbaty?

Tłum. ANNA STANISZEWSKA

Fot. W. Parys

Lewym okiem

GDZIE WYPCHAĆ CHOMIKA?

W zachodnioniemieckim tygodniku „Der Spiegel" trafiłem na artykuł o luksusie. Co to jest luksus? Jest to styl życia, polegający na jak największych wydatkach na rzeczy absolutnie niepotrzebne, zbytkowne czyli zbyteczne. Dawne magnackie rody w ogóle nie wiedziały, co to potrzeba: żyły z pokolenia na pokolenie w nadmiarze wszystkiego. Dziś w zawrotnym kołowrocie kapitalistycznych fortun istnieją w tamtej części świata ludzie, którzy z wtorku na środę stali się krezusami. Ci znów w ogóle nie wiedzą, jak się zabrać do luksusu, jak wydać pieniądze.

Wydano więc dla takich książeczkę — „Smak luksusu". W Paryżu. „Le gout du luxe". Jest to podręcznik dla krążących po paryskich ulicach, nadzianych forsą biedaków, pardon — milionerów, którzy już doprawdy nie wiedzą, czego chcieć. Podręcznik wskazuje im najdroższe sklepy i najwyszukańsze idiotyzmy... pardon, luksusy. Chcecie w to zajrzeć?

Są krawcy, u których suknia wieczorowa kosztuje trzy tysiące dolarów. Tam się ubiera pani Onassis i pani Liz Taylor. Są jubilerzy wystawiający w oknach na placu Vendome czternastokaratowe brylanty, oprawne w szmaragdy. Jest najdroższy fryzjer (już nie Antoin — Cierpikowski z Sieradza!...), Alexandre, który każe klientkom przynosić z sobą autentyczną deszczówkę i za płukanie włosów w tej deszczówce bierze ogromne pieniądze. Są do nabycia czekoladki opakowane jak klejnoty, po trzysta dolarów za pudełeczko. Kwiaciarz Lachaume oferuje wieniec z orchidei za kilka tysięcy dolarów, za słoną zapłatę odwiedza też salony i... produkuje w nich powietrze, najlepiej służące różom w wazonie. Można sobie zafundować super łazienkę z dwiema wannami z kryształu, które sprzedawca reklamuje sloganem: „Dla pani i pana, dla pani i jej psa, dla dyrektora i jego sekretarki". Kurki z ametystu, obramowane złotem. Bidety robione na miarę, jak smoking, ze złoconą pokrywą, wyścielane jedwabiem...

Ulubionego chomika można po jego najdłuższym życiu zabalsamować i uwiecznić. Trzysta dolarów wystarczy, żeby wypchać kochanego pieska. Za pięć tysięcy (dolarów, oczywiście) śpiewa prywatnie Dalida, ale zamówienie składać należy z półrocznym wyprzedzeniem, wcześniej zajęte.

Można — jadąc z Paryża do Nicei — zamówić sobie wagon wyłożony cytrynowym drzewem i mahoniem, z luksusową sypialnią, kuchnią, pokojem dla służącej. Wcale nie tak drogo — tysiąc dolarów, a to kawał drogi, prawie tak, jak ze Szczecina do Rzeszowa. Można to wszystko połączyć i zamówić sobie do takiego wagonu Dalidę, bidet na miarę, wieniec z orchidei i powietrze dla róż. Więcej nie wiem co można, ale pomyślę. Niepotrzebnych rzeczy można przecież wymyślić więcej niż potrzebnych, a samo takie myślenie byłoby fantastycznym luksusem, gdyby trzeba było sobie samemu za nie zapłacić. Bo tak, za darmo, to tandeta i nie pasuje do definicji.

Pamiętamy jeszcze, że w okresie szczytowej sławy Beatelsów sprzedawano puszki z ich oddechem. Trochę to co prawda inne regiony obyczajowości, inne kategorie: to nie nadmiar pieniędzy kazał kupować pięknie zalutowane puszki z niczym, tylko potęga mitu, legendy, opętania. Kupowały je dziewczęta za grosze, zaoszczędzone na prawdziwych potrzebach.

A my co? Dostanie człowiek nagle premię, a tu już na niedzielę wszystko kupione, żona ubrana, dzieci w kinie, komorne zapłacone. Nie wierzymy w legendy, mity nas się nie trzymają. Dopisać do książeczki? Żadna frajda, nikt nie będzie wiedział. Wydałoby się na byle co, ale u nas nawet w sklepach z tysiącem drobiazgów jest tylko sto drobiazgów i to samych potrzebnych. Sklepów z byle czym nie ma. Nikt nie chce wypchać chomika. Niemen za całą premię do naszego M-3 nie przyjdzie. Najdroższy koniak pochłonie połowę premii, do tego sto złotych na przekąskę i co z resztą?

Koniecznie należałoby wydać własny, krajowy samouczek dla ludzi, spragnionych luksusu. Takiego w naszej skali. Zamiast orchidei mogą być nogietki.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jerzy Wawrzak (redaktor naczelny), Karol Badziak, Konrad Frejdlich, Roman Łoboda, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1806. D-7.